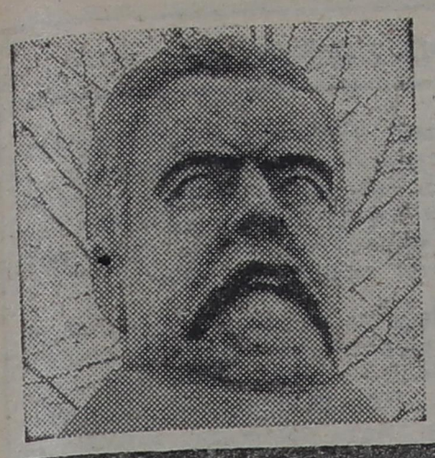

polonez piórem tańczony 3

rozmowy w beczce z prochem 4–5

dyskretny urok drobnych przestępstw 7

szkoła oszustów kurs średni 11

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

40

(67)

KONTAKTY

11.X.1981

Cena 6 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

BEZ PARDONU

myśl na etacie

O grząskich drogach goniądzkiej odnowy, reglamentowanej sprawiedliwości, o biurokratycznej niemocy i smutku rolnictwa — w kolejnej edycji „Bez pardonu" publicznie dyskutowali Czytelnicy i dziennikarze „Kontaktów" z władzami miasta i gminy Goniądz. W słownych potyczkach udział wzięli: Zygmunt Jurewicz, naczelnik Urzędu Miasta i Gminy; Jan Wojtkielewicz, dyrektor Spółdzielni Kółek Rolniczych; Zdzisław Studniarek, prezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska"; Adam Grabowski, dyrektor Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury oraz Jarosław Grabowski, I sekretarz KMiG PZPR. Redakcję reprezentowali: Władysław Tocki i Stanisław Zieliński.

CIĄG DALSZY NA STR 8–9

misjonarz w czerwonym krawacie

Rozpoczynamy druk pamiętnika, którego materiał faktograficzny mógłby posłużyć jako gotowe tworzywo dla znakomitej książki czy scenariusza filmowego. Powikłane losy człowieka, na które ogromny wpływ miały przełomowe momenty współczesnej historii Polski, a przy tym barwność i dynamiczność opisu sprawiają, że czyta go się jednym tchem. Pamiętnik został nadesłany na konkurs „Gazety Współczesnej" pn. „Konflikt współczesny" w 1977 r. Do tej pory nie mógł ukazać się w druku, nawet we fragmentach.

Polecamy Czytelnikom ten pasjonujący życiorys własny Polaka. Może w nim odnajdą jakiś skrawek własnych, rodzinnych przeżyć?

Jak na spowiedzi opowiem, dlaczego byłem i jestem taki konfliktowy. Czy ja jeden chciałem zmienić świat? Może zostałem współczesnym Don Kichotem? Za duże określenie. Takich jak ja, walczących o sprawiedliwość społeczną, są tysiące. Ale najtrudniej zwalczać stare nawyki i przyzwyczajenia. Z czasem dopiero zacząłem znajdować własne ścieżki prawdy i moce

CIĄG DALSZY NA STR. 12–13

zdarzenia

TEGOROCZNA INAUGURACJA roku Kulturalno-oświatowego w Łomży nie ma nic z charakteru dawnych, oficjalnych uroczystości z pompą. — Nadaliśmy tej imprezie — mówi dyr. Wydziału Kultury UW w Łomży, Janusz Berner, — charakter roboczy. Działacze województwa łomżyńskiego spotykają się w trzech grupach. Na pierwsze spotkanie, które odbyło się w Nowogrodzie, 2 października, przybyli pracownicy muzeów, ochrony zabytków i archiwów państwowych. W kameralnym gronie dyskusja o konkretnych sprawach, wymiana myśli, szukanie rozwiązań na dziś, była powszechniejsza i o wiele efektywniejsza. Poniedziałkowe „Spotkanie z okazji inauguracji" poświęcono problemom pracowników domów kultury, bibliotekarzy, członków społecznych stowarzyszeń, wspierających działalność kulturalną. 8 bm. dyskutować będą plastycy, literaci i muzycy. Natomiast w terenie działacze kultury zaproszą na wspólną debatę przedstawicieli organizacji politycznych i społecznych, którzy mogą wesprzeć lokalną kulturę pomysłami i kiesą. Choć będzie to rok trudny, nasi działacze nie dopuszczają alternatywy: chleb albo kultura.

WIELE KRYTYCZNYCH UWAG dotyczących stylu, metod działania, aktywności kół i operatywności Zarządu Wojewódzkiego, padło na III Plenum ZW ZMW. Mirosław Karpiński: — Słabi jesteśmy w terenie, bo nie ma gminnych zarządów. Proponuję powołać tymczasowe gminne komisje, upoważnione do reprezentowania ZMW na forum gminy i do pertraktacji z naczelnikiem. I jeszcze jedno: musimy już naprawdę przystąpić do działania, przeprowadzania różnych akcji na rzecz środowiska. Od czego zacząć? Powiedzmy, że od likwidacji melin przez koła, przegladu pustostanów na wsi, pomoc inwalidom, a nade wszystko tym, którzy nie mogą się podnieść z łóżka; Leszek Biały: — Nie jestem za akcjami — robiły je władze w latach siedemdziesiątych. Mamy przecież zdobywać zaufanie do młodzieży, która je straciła w minionym okresie. Dlatego musimy największy nacisk położyć na inicjatywę oddolną; Andrzej Dąbrowski: — Rozgadaliśmy się i gadamy. Czy warto ruszać akcje ze złymi nawykami? Ja też może nieraz chciałbym poczekać na instrukcje, ale żyjemy w takich czasach, że sami musimy ruszać głową i próbować swoich możliwości. Powinniśmy przyjąć jedną zasadę: Niczego nie robimy na pokaz. Oto wybuchł konflikt między Zespołem Szkół Zawodowych a Studium Położonych. Pomóżmy młodzieży wiejskiej, bo ona stanowi 90 procent i szkoła rolnicza jest nam potrzebna.

Plenum zaakceptowało wyniki rozmów Zarządu Wojewódzkiego z łomżyńskimi organizacjami społeczno-gospodarczymi i politycznymi na temat współpracy, zwłaszcza w zakresie tworzenia kół ZMW w szkołach rolniczych i ochotniczych hufcach pracy, rozwoju kultury na wsi, dostaw sprzętu dla rolnictwa z uwzględnieniem potrzeb młodych. W przyjemnej rezolucji precyzującej stanowisko Związku wobec bieżącej sytuacji w kraju czytamy: „Jesteśmy za szerszym udostępnieniem, na równych prawach, wszelkim legalnym organizacjom społecznym i politycznym oraz związkom zawodowym dostępu do środków masowego przekazu w celu wypowiadania się w sprawach ogólnonarodowych i wewnętrznych. Sprzeciwiamy się wszelkim przejawom, szerzącej się w środkach społecznego przekazu zwłaszcza w telewizji, dezinformacji". W sprawach wsi Plenum opowiedziało się za realizacją porozumienia z Ustrzyk Dolnych i z Rzeszowa.

INICJATYWA EGZEKUTYWY Komitetu Miejskiego PZPR spotkania się z oddziałem łomżyńskim NSZZ „Solidarność" nie doszła do skutku, choć wszystko wskazywało na to, że Łomża stanie się krajowym ewenementem — ułożenia poprawnych stosunków miejskiej organizacji partyjnej z „Solidarnością".

PLENUM WK ZSL dyskutowało nad sprawami młodzieży, jej udziałem w społeczno-gospodarczym rozwoju wsi i rolnictwa.

KOLEJNY SEJMIK BIEBRZAŃSKI, poświęcony ochronie naturalnego środowiska odbędzie się w dniach 10 i 11 października. Referaty wygłoszą m.in.: dr inż. arch. Andrzej Jagusiewicz: „Koncepcja zagospodarowania turystycznego Doliny Biebrzy", prof. Henryk Okruszko: „Informacja o badaniach naukowych w Dolinie Biebrzy".

ZARZĄD ŁOMŻYŃSKIEGO TOWARZYSTWA Wioślarskiego przyznał „Kontaktom" honorowe członkostwo Stowarzyszenia. Traktujemy to jako sprytne zobowiązanie redakcji do postarania się o faktyczne zasługi dla idei wioślarstwa. Tymczasem zaliczamy pierwsze honorowe członkostwo.

DRUGI WOJEWÓDZKI Zjazd Towarzystwa Wiedzy Powszechnej obradował w Łomży 3 października. Nowym prezesem towarzystwa został Stanisław Daniszewski, kurator oświaty i wychowania.

PERSONALIA. W związku z przejściem do pracy w Ministerstwie Rolnictwa Wacław Redliński przestaje pełnić funkcję wicewojewody łomżyńskiego. Sympatyzującemu z redakcją wojewodzie dziękujemy za wzorową współpracę i gratulujemy awansowych przenosin do Warszawy, zaś Województwu życzymy aby następca zasłużył na powszechny szacunek — przez swą pracowitość i inicjatywę.

pytania drażliwe

ZAWARLIŚCIE z rolnikami umowy kontraktacyjne, teraz — nie przyjmując ziemniaków — łamiecie je. Czy znowu ma dojść do zgnojenia wydartych ziemi płodów?

MIECZYSŁAW BAGIŃSKI, wicedyrektor Wydziału Rolnictwa Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa: — Pomimo urodzaju nie będzie takiej klęski, jaka była w roku 1979. Mamy inną sytuację w hodowli. Para prosiąt na jarmarku przekracza 5 tysięcy złotych, a to znaczy, że rolnicy trzymać będą inwentarz w zagrodzie miast sprzedawać go po wysokich cenach za banknoty o coraz niższej wartości. Nadwyżki ziemniaka przeznaczone więc zostaną na paszę.

HILARY KARWOWSKI, prezes WZSR-u w Łomży: — W skupowaniu ziemniaka tkwi podstawowy paradoks: podział na jadalne i przemysłowe. Przecież i na jeden cel i na drugi „idą" te same rośliny, z tym że jadalne skupujemy my (ok. 10 tysięcy ton), zaś przemysłowe — Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego (w granicach 200 — 300 tysięcy ton). Uważam, że dla ułatwienia życia producentów, powinien być jeden kontrahent. Choćby sytuacja, jaką mieliśmy jeszcze w ubiegłym tygodniu. Nie nadeszły zlecenia wysyłkowe i co? Stoimy, a chłopi z Goniądza i Trzciannego, bo tam skupujemy te jadalne ziemniaki, denerwują się. W roku ubiegłym zaryzykowaliśmy i zaczęliśmy skup, nie czekając na zbyt. Ustnie złożył nam zamówienie Prezydent Krakowa. Zaufaliśmy mu, chłopom zapłaciliśmy po 900 złotych. Odbiorca się wycofał, a my towar musieliśmy sprzedać po 300 złotych. W tym roku byliśmy ostrożniejsi i twardo czekaliśmy na zamówienia pisemne. Już nadeszły: na 5 tysięcy ton do Gdańska oraz do Rumunii.

JAN NOWAK, zastępca dyrektora ds. technicznych w Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego w Łomży: — Z naszych kontaktów z rolnikami wynika, że rzeczywiście ziemniaków będzie nadmiar. Czy należy to uznać za „klęskę urodzaju"? Nasze punkty skupu — mamy ich 47 — dostarczą na jesieni 70 procent kontraktacji, to znaczy 160 tysięcy ton. 30 procent otrzymamy na wiosnę. Nasz zakład zdolny jest przerobić 130 tysięcy ton. Pozostałą część wyślemy do innych regionów. Sądzę, że powinno być wreszcie pod dostatkiem kisieli, budyniów i mączki ziemniaczanej.

Redagowanie „Zdarzeń": Stanisław Zieliński.

KORESPONDENCJA WŁASNA Z GDAŃSKA

Wałęsa z worka

Jest 2 października 1981 r. Na salę wchodzi komisja skrutacyjna z wynikami wyborów na przewodniczącego Związku. Wśród fotoreporterów i ekip telewizyjnych zakotłowało się. Krzysztof Bartnicki z Telewizji Gdańskiej nie wytrzymuje i — mimo braku pozwolenia — filmuje. Zostaje za to później pozbawiony akredytacji. Z holu wszystkich wymiotło. Kto żyw ściągnął na salę. Przed halą radość. Już wiedzą. A delegaci, jakby nigdy nic, przedłużają czas wypowiedzi kolejnego mówcy, i to dwukrotnie. Napięcie sięga apogeum. Jest godzina 18.14. Przewodnicząca komisji skrutacyjnej, Elżbieta Błaszczyńska, odczytuje protokół.

— Zawsze przynoszono nam szefa w teczce — mówi — my przynosimy wam w worku. Wyspuje z niego oddane głosy (liczono je w Stoczni). Ludzie się niecierpliwią. Kto? Kto?!

W przeddzień ustalono scenariusz, według którego zmagali się czterej pretendenci do fotela przewodniczącego Związku. Przed podniesieniem kurtyny przerwa kolacyjna. Pod stołówką rozdawnay jest biuletyn, w którym mowa o sprawie Anny Walentynowicz, a więc pierwszy akt walki wyborczej wymierzony w Wałęsę. Dobrze po 21.00 kurtyna idzie w górę. Losowanie kolejności wystąpień. Pierwszy — Marian Jurczyk. Znakomicie przygotowany. Jego credo to nieustępliwość wobec rządu, wsłuchanie się we wszystkich ważnych sprawach w głos mas członkowskich i całkowite im oddanie. Jest szczery aż do granic ekshibicjonizmu. Mija dziesięć minut.

Kolej na Andrzeja Gwiazdę. Pierwszą sprawą, jaką porusza, jest konieczność położenia kresu procesom wytaczanym działaczom „Solidarności", drugą — kompromis z władzą, ale nie kapitulacja, trzecią: obowiązek budowania systemu dla ludzi rzeczywistych, a nie idealnych. Otrzymuje długą owację.

Za mikrofonem Lech Wałęsa. Nie łasi się do słuchaczy. Upomina ich, że nie doceniają partnera. Pyta, co da rozwalanie Sejmu czy rządu, gdy na ich miejsce powstanie jeszcze większy totalitaryzm. — O polityce się nie mówi, politykę się robi — kończy swoje wystąpienie. Brawa są umiarkowane.

I wreszcie ulubieniec Zjazdu, Jan Rulewski. Rozpoczyna z grubej rury: — Uważam, że błędem w działaniu naszego Związku było przyjmowanie rzeczywistego bądź urojonego zagrożenia. — Kupuje tym salę. Jego wystąpienie jest niesamowitą składanką. Obok cytatów z księdza Józefa Tischnera sadzi wspaniałe barokizmy w rodzaju: „rezonansowe tuby mass mediów". Stwierdzenie, że nie potrzeba nam teraz teatrów i baletów, a kawałka chleba i kawałka kości wołowej, staje się nieświadomym, ironicznym autokomentarzem. Owacje są najdłuższe i najgorętsze. Koniec I rundy.

Przerwa. W kuluarach pierwsze oceny. Mowę Rulewskiego opatrzono komentarzem: „jak rozpętałem trzecią wojnę światową". Podobał się Jurczyk. Niskie notowania ma Wałęsa. Zresztą ten faworyt tracił punkt po punkcie podczas drugiej tury Zjazdu. Atakowany był ostro za decyzję w sprawie samorządów i za pracę Prezydium KKP. Gwiazda nie porywa tłumów, ale wszyscy cenią jego inteligencję.

Gong. Druga runda. Harcerka losuje pytania dla Jurczyka. Różne: obok głupawych — mądre i celne. Jurczyk odpowiada pewnie i zdecydowanie. Pół godziny minęło. Teraz Andrzej Gwiazda. Jest swobodny. Ironicznie odpowiada na banalne zaczepki. Gdy pada pytanie, dlaczego kolega kandyduje na przewodniczącego, odpowiada: — Bo na to pozwala mi związkowy statut.

Wałęsa wygląda na zmęczonego. Jego wypowiedzi mają ton obraźliwy. Co się z nim dzieje? Jest agresywny. Gdy pada pytanie, czy pójdzie w swym działaniu zawsze za wolą większości — odpowiada: nie! Sala kwituje to przeciągłym oooo... Jeszcze raz pokazuje swoją klasę, gdy mówi, że z Jasiem Rulewskim pracować nie będzie (obok niego siedzi Rulewski), ponieważ ma swoje powody. Sala ponownie: oooo! A co zrobi, gdy przegra wybory? Będzie rozdawał autografy i pisał książki fantastyczno-naukowe.

Spostponowany przed chwilą Rulewski zajmuje miejsce Wałęsy. Pietrzak, Fedorowicz i Łaskowik, razem wzięci, mogliby u niego terminować. Słuchając go ma się wrażenie, że wszystko jest możliwe: przesunięcie granicy do Chin, a nawet zmienienie praw grawitacji. Opowieścią o perypetiach swego życia, ugotował salę na miękko. Koniec. To już nie są brawa, a brawiska.

Trzecia runda, w której kandydaci mają sobie wzajemnie zadawać pytania, nie dochodzi do skutku. Dawno minęła północ i wszyscy są wykończeni. Delegat siedzący obok mnie drzemie. Przy wyjściu z hali „Oliwii" kilku delegatów zatrzymuje kobietę około czterdziestki. — Co on wygaduje — to o Wałęsie — jakie kompromisy? Ja mam troje dzieci i dosyć kolejek. Trzeba uderzyć.

W dniu ogłoszenia werdyktu jestem w Stoczni im. Lenina. Pod historyczną bramą transparent: — „Głosując na Wałęsę — głosujesz na POLSKĘ". Obok tego wisi: „Realizacja uchwał IX Zjazdu podstawą wyjścia z kryzysu" oraz „Uwolnić politycznych — dość bezprawia!" Pytam ludzi z żelaza, jaki będzie wynik wyborów. — Oczywiście, wygra Wałęsa — mówi Norbert Ota, od 13 lat pracownik Stoczni. — Znam go z widzenia i mu ufam. Rulewski? Tyle wiem, że rozrabiaka. Gwiazda? W porządku. Jurczyk? Za mało dyplomatyczny. Ocena wyborów? Nareszcie demokratyczne.

Wracam do „Oliwii" — właśnie jest moment oddawania głosów. Na balkonie gości mignął na moment transparent. Na sali totolotek. Różne systemy. Wejście do puli od 20 do 100 złotych. Najczęściej obstawia się Wałęsę. Przed halą co krok koła i koliska. Łapię Stanisława Wałęsę, starszego brata Lecha (też wąsy) z Bydgoszczy. — Ja raczej nie będę mówił jako brat, a jako związkowiec. Nie wyobrażam sobie „Solidarności" bez Lecha.

* * *

I oto Elżbieta Błaszczyńska odczytuje, w porządku alfabetycznym, nazwiska: Andrzej Gwiazda — 74 głosy. Brawa. Marian Jurczyk — 201. Też długa owacja. I teraz jest moment, gdy sala zastyga w napięciu. Jan Rulewski — 52 głosy. Brawa, brawa i jeszcze raz brawa... ulgi. Lech Wałęsa — błyski fleszy tworzą w miejscu, gdzie siedzi, jasny krąg — 426 głosów. Gratulacje. Ścisk. Łzy w oczach Jurczyka. Sala śpiewa „Sto lat" na stojąco.

Pytam delegata Mazowsza, Kazimierza Kaczora vel Kurasia, w jakich rolach obstawiłby aktorów wczorajszego spektaklu. Chwila namysłu. — Jeden jest ze sztuki socrealistycznej — domyślam się, że chodzi o Jurczyka. — Drugi grał monodram — bez wątpienia Wałęsa. — Trzeci awangardowy teatrzyk studencki — chyba Rulewski. — A czwarty to Pan Jowialski Fredry.

ADAM JERZY SOCHA

zdanie tygodnia

Pytanie o żywność jest już polityką. (Władysław Parda, rolnik z Kruszyn, gm. Turośl).

zdanie z atestem

Komuniści uczą masy wystąpień zorganizowanych, zwartych, solidarnych, dojrzałych i dokonywanych we właściwym czasie. (Włodzimierz I. Lenin).

SPOTKANIA Z GLOGEREM

polonez piórem tańczony

„Kochał przeszłość dla przyszłości."

Ta sentencja umieszczona na grobie Zygmunta Glogera lapidarnie ujmuje pasję jego życia. Pasję, której przedmiot i motywacje przypomniano jego słowami nad otwartą mogiłą, gdzie spoczął 71 lat wstecz: *„Nie znać swej ziemi, to jakby nie znać swej matki. Czyż może być większe nieszczęście?"*

Do świadomości owego problemu dorastał od najmłodszych lat. Urodzony 3 listopada 1845 roku w Kamionce, w dawniejszym województwie augustowskim, przyszedł na świat w rodzinie o tradycjach patriotycznych i rozbudzonych zainteresowaniach naukowych. Jego dziad Wilhelm, Niemiec z pochodzenia, staje się Polakiem z wyboru, gdy utworzenie Księstwa Warszawskiego zastaje go jako urzędnika w anektowanym przez Prusy Białymstoku. W przeciwieństwie do współrodaków, opuszczających dotychczasowe ziemie zaboru pruskiego, Wilhelm Gloger zostaje na Podlasiu i osiada w Tykocinie. W następnym pokoleniu rodzina Glogerów wrasta w polską kulturę i patriotyzm. Starszy syn Wilhelma, Karol (1809—1875) żeni się z Kornelią Żmichowską, siostrą pisarki, a przy tym wielkiej patriotki, Gabrieli. Młodszy, Jan (1811—1881) od wczesnych lat życia fascynuje się osobą i poglądami swego nauczyciela, Adama Bartoszewicza, entuzjasty literatury polskiej i zapamiętałego zbieracza rodzimych przysłów, oraz przyjaźni się z późniejszym tytanem powieści historycznej, Józefem Ignacym Kraszewskim. Wciągając się w orbitę spraw narodowowyzwoleńczych Jan bierze udział w Powstaniu Listopadowym, co przypłaca trzyletnią emigracją do Rosji. Po powrocie osiada w Jeżewie pod Tykocinem, gdzie nabywa niewielki majątek. Miejscowa szlachta rozpoznała w nim wkrótce patriotę i człowieka mądrego, a wiarygodność tej opinii potwierdziła obraniem go na swego przedstawiciela w radzie powiatu łomżyńskiego. W Jeżewie ujawniają się też sadownicze talenty Jana (jest m. in. twórcą odmiany jabłoni zwanej od niego glogerówką) i zamiłowania kolekcjonerskie, których efektem był spory zbiór książek i obrazków.

Pasja zbieracka udzieliła się również drugiemu synowi Jana — Zygmuntowi. Jednak zasadniczy wpływ na dalsze losy życiowe chłopca wywarła matka, Michalina z Wojnów Glogerowa, która posiadała duże wiadomości o historii ziem nad Narwią i którą nie bez przyczyny zwano w okolicy „żywą kroniką Podlasia". Pierwsze nauki szkolne Zygmunt pobierał w Warszawie, w — uznawanej za najlepszą — szkole Jana Nepomucena Leszczyńskiego, spokrewnionego z Mickiewiczem i Lenartowiczem.

Pepiniera Leszczyńskiego kształciła w duchu patriotycznym i demokratycznym, a jej wychowankami byli m. in. malarz Józef Brandt, publicysta Stanisław Krzemiński, ekonomista Witold Załęski, prawnik Gustaw Roszkowski. Ze szkoły Leszczyńskiego Gloger wchodzi w mury warszawskiej Szkoły Głównej, gdzie do 1868 r. studiował zasadniczo historię. Stamtąd przenosi się na Uniwersytet w Krakowie, by przez 3 lata zgłębiać historię i archeologię. Na tym kończy formalną edukację i w 1872 roku wraca do Jeżewa, które od tej pory będzie miejscem jego stałego pobytu aż po ostatnie dni życia.

Jeżewski okres egzystencji Glogera płynie dwoma nurtami: z zamiłowaniem gospodaruje i oddaje się badaniom naukowym. Skala tych dociekań jest imponująca. Sam Gloger określa się jako pracujący *„nad archeologią, historią, etnografią i ekonomią czyli w ogóle naukami, które z przeszłością kraju i dzisiejszym bytem ekonomicznym narodu mają związek"*.

Inklinacje naukowe Zygmunta przejawiają się dość wcześnie. Jako szesnastoletni chłopiec zajmuje się notowaniem pieśni i podań ludowych z okolic Jeżewa. W rok później publikuje debiutancki artykuł o pomniku Stefana Czarneckiego w Tykocinie. Pierwszą jego obszerną pracą są „Obchody weselne ludu w Polsce i na Rusi" ograniczone do jednego tomu po życzliwej, lecz ostrej recenzji Oskara Kolberga, ówczesnego największego autorytetu w kraju. Wyciągając wnioski z tych uwag, Gloger pracuje nad następnymi publikacjami. Mają one dwojaki charakter: naukowy i popularyzatorski. Obejmują zbiory zapisów gwary, pieśni i zabobonów ludowych, głównie znad Narwi i Bugu. Sukces tych wydawnictw („Starodawne dumy i pieśni", „Krakowiaki, mazurki, wyrwasy i dumki", „Baśnie i powieści". „Gody weselne", „Zwyczaje doroczne", „Zabawy, gry i zagadki, żarty i przypowieści") potwierdził się nawet w środowisku ówczesnej Polonii amerykańskiej. Również ich współczesna wartość stała się równie niepodważalna: tak naukowa, jak kulturowa, bowiem i o tę ostatnią — jeżeli nie przede wszystkim — chodziło erudycie z Jeżewa. Dążył on do utrwalenia w społecznej świadomości samowiedzy polskiego ludu w jego wymiarze ogólnopolskim. Przez lud rozumiał Gloger mieszkańców wsi — chłopów jak i szlachtę — których charakteryzuje lokalna kultura rustykalna, nieskażona elementami kultury miejskiej i kosmopolitycznej. Przesiąknięty wiarą w jedność pochodzenia głównego trzonu narodu-ludu, spełniał Gloger pracę niezwykłą, przyczyniając się do zachowania ciągłości obyczaju wiejskiego w czasach, gdy kultura mieszkańców wsi była szczególnie narażona na utratę czystości. Synteza tych starań było dzieło „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni" (1900), zbiór obyczajów ludowych uporządkowany według miesięcy i świąt. Lata studiów nad historią owocują próbą opracowania „Inwentarza dawnej Rzeczypospolitej", mającą być zestawieniem wszystkich nazw geograficznych spotykanych w źródłach dziejowych. Zbierany materiał historyczny, podlegający w międzyczasie zmianom koncepcji pracy, stał się po 30 latach podstawą „Geografii historycznej ziemi dawnej Polski". Równolegle Gloger prowadzi prace archeologiczne. Studia w Krakowie i pobyt w kręgu ludzi zarażonych pasją ocalania reliktów przeszłości narodowej pogłębiły w nim kult pamiątek. Zaczyna kolekcjonować monety, pieczęcie i robić wypisy o przejawach dawnej kultury — wszystko to z myślą o dykcjonarzu starożytności polskich, tj. o słowniku wyrazów związanych z przeszłością kraju.

Dwadzieścia lat upłynęło mu na zbieraniu notatek i rysunków, wertowaniu publikacji historycznych, w częstych wyjazdach po kraju i bezpośrednim docieraniu do zródeł informacji. Wreszcie w 1896 r. wydaje jednotomową „Księgę rzeczy polskich", wznowioną w 1909 r. po sukcesie pierwszego wydania. Uznanie, jakie uzyskała książka dopinguje Glogera do pogłębiania studiów w dotychczasowym kierunku z myślą o wydaniu wielotomowego dzieła, które mogłoby jeszcze żywiej rozbudzić ciekawość i wzmóc zamiłowanie do pamiątek narodowych. Zamierzył w nim autor pomieścić objaśnienie słów związanych z dawnymi monetami, sprzętem, bronią, instytucjami prawnymi, narzędziami pracy, strojami, obrzędami itp. Inaczej — wszystko, co nosi znamię dawnej polskości powinno znaleźć się w planowanym dziele. Decydując się na ten, bez przesady, ponadludzki wysiłek w 1900 roku, przez trzy następne lata Gloger pracuje bez wytchnienia, a efektem jego niespożytej energii jest licząca 1500 stron (!) i blisko 100 ilustracji (!) „Encyklopedia staropolska" w 4 tomach — dzieło jednego człowieka, autora wszystkich niemal artykułów „Encyklopedii". Na dodatek wydaje je za własne pieniądze, gdyż... nie znalazł się żaden „nakładca". Tylko kłopoty finansowe przeszkodziły Glogerowi kontynuować podjęte nad „Encyklopedią" prace, które zamierzał na kilkanaście tomów. Powodzenie czterotomowej publikacji z miejsca stało się ogromne, szczególnie wśród młodzieży, którą jak nikt inny nauczył Gloger szacunku dla przeszłości narodowej i jej reliktów. „Encyklopedia" do dzisiaj jest dziełem niezastąpionym mimo kilku późniejszych publikacji o podobnym zakresie tematycznym, będących zestawem dociekań ludzi tej miary co Władysław Łoziński, Jan Stanisław Bystroń czy Aleksander Brückner.

Ledwie skończył Gloger „Encyklopedię", gdy zaczął przemyśliwać nad kolejnym wydawnictwem: „Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce". Gruntowne studia nad specyfiką rodzimej architektury dały w rezultacie świetną książkę, chociaż jej autor zdążył wydać tylko półtora tomu z przewidywanych dwóch. A działo się to w czasie, gdy ochrona zabytków w Kongresówce mało kogo interesowała, zaś oryginalna polska zabudowa ginęła bezpowrotnie za przyczyną bezmyślnej mody na obce style architektoniczne.

Zrozumiałe więc, że powstałe w początkach naszego stulecia warszawskie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości obrało za swego prezesa właśnie Glogera. Nasuwa się nieodparcie pytanie: kiedy ów człowiek znajdował czas na tak bogate i rozległe życie. Niewątpliwie był pracowity. „Gdyby istniał tylko ośmiogodzinny dzień pracy, byłby prawdziwą niedolą z powodu swej krótkości" — zwykł mawiać, a jego pracowitość rzutowała na poziom prac. Współczesny glogerysta, Wacław Oleszewicz powiada *„[...] wszystko u niego jest zbadane, sprawdzone, oparte na faktach. Obok dążności do autentyzmu, obok wielkiej skurpulatności, cechą charakterystyczną jego umysłowości jest unikanie przedwczesnych hipotez czy uogólnień. To odróżnia Glogera od innych badaczy. [...] Jest dalej cechą charakterystyczną Glogera niezmienna wytrwałość w stosunku do tematów zainteresowań: lata całe [...] trwał przy przedmiocie badań, a to pozwalało mu na pogłębienie znawstwa, na znajomość rzeczy, imponującą nawet w drobnych szczegółach"*. Systematycznie wędrował też po kraju, wysoce ceniąc sobie autopsyjną metodę badań. Zapuszczał się również za granice kraju, chociaż poza Słowiańszczyznę nie wyjeżdżał. Jakby mało miał zajęć naukowych i te udokumentował publikacją „Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy". Tytuł owego dariusza wskazuje zarazem na ulubione miejsca krajoznawczych penetracji autora. Wiedząc, że dawniej rzeki stanowiły główne szlaki osadnictwa, tu przede wszystkim, na ich nadbrzeżach poszukuje śladów zamierzchłej kultury. Przy okazji czyni obserwacje przyrodnicze; ich emocjonalne odbicie, wibrujące szczerym emitowaniem swojszczyzny znaleźć można na stronicach wspomnianych „Opisów podróży" a naukowy plon — w „Notatkach spostrzegawczych nad instynktem i zmyślnością zwierząt", „Znaczeniu torfowisk dla historii" i „Torfowiska jako muzeum przeszłości", dowodzących raz jeszcze iście renesansowych horyzontów umysłowych jeżewskiego polihistora.

Znajdował też czas na pracę w Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, gdzie był radcą z wyboru ziemian podlaskich; pisywał do „Gazety Świątecznej", pisma wydawanego dla ludu i wielu czasopism rolniczych, zamieszczając w nich artykuły popierające postęp na wsi, rozwój oświaty, ogrodnictwa, rybactwa.

We wszystkich jego pracach szczególne miejsce zajmuje Podlasie. Chętnie pisał o Tykocinie i jego eksponowanych osobistościach: Łukaszu Górnickim, Stefanie Czarneckim, Gryfitach Branieckich. Studiował też stosunki polsko-litewskie, mając w historii Podlasia świetny materiał do śledzenia rozwoju kontaktów Korony i Litwy.

Oddajmy — na potwierdzenie tych słów — jeszcze raz głos Wacławowi Olszewiczowi: *„Obrońca swojszczyzny, ludoznawca i historyk kultury staropolskiej Zygmunt Gloger nie zostawił następcy. Nikt po nim nie objął tego stanowiska, jakie potrafił zdobyć w społeczeństwie niestrudzonymi badaniami nad swojską kulturą. Jak nikt po nim, wchłonął w siebie żywą jej jeszcze tradycję i promieniował nią, przekazując dalszym pokoleniom wiadomości o staropolskim zwyczaju i obyczaju, budownictwie, sprzęcie, broni, stroju, śpiewie, tańcu. Pod jego piórem zdają się oni przechodzić w jakiś przepiękny, każdemu sercu polskiemu bliski i miły polonez"*.

JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Zakład Remontowo - Budowlany WSS w Łomży jest rozczarowany wypowiedzią kierownika budowy Zespołu Przychodni Specjalistycznych zamieszczoną w Waszym tygodniku z dnia 13 IX 1981 r., stwierdzającą, że murarze oddelegowani z naszego zakładu wykonują po trzy metry tynku dziennie. To stwierdzenie wypowiedziane przez kierownika, Wacława Korzebę, przyjmujemy jako podziękowanie za pomoc przy realizacji obiektu i pouczenie na przyszłość, co do dalszej pomocy na tej budowie.

My ze swej strony stwierdzamy, że przeciętne dzienne wykonanie tynku było dużo, dużo większe. Dziwi nas fakt, że kierownik budowy nie miał w tym czasie właściwego rozeznania, co nasi ludzie robili i jak była zorganizowana robota. Musimy tu stwierdzić, że oprócz sfaldowań belek stalowych, tynkowanie stropów utrudniały przecieki. Również ściany wykonane były niestarannie i wymagały uzupełnień oraz w dużych ilościach skuć, dochodzących do 5 cm. Sądzimy, że należałoby uwzględnić wszystkie roboty, jakie nasi pracownicy wykonali i w jakich warunkach.

My ze swej strony możemy powiedzieć o właściwym spełnieniu obowiązku i że na tym nie poprzestaniemy. W miarę wystąpienia najmniejszych „luzów" udzielimy jeszcze pomocy, lecz nie chcemy, by nasza pomoc była ukazywana społeczeństwu łomżyńskiemu tak, jak wynikało z ostatniego podsumowania.

HENRYK SUCHOCKI
— dyrektor
JAN GROMAK
— kierownik robót technicznych

*

Informuję, że za nieprawidłowości stwierdzone przy likwidacji zużytych odbiorników telewizyjnych ukarano karami regulaminowymi: kierownika działu handlu — upomnieniem na piśmie z włączeniem do akt personalnych oraz kierownika WDT — naganą. Do Rady Nadzorczej GS wystąpiono z prośbą o rozpatrzenie sprawy i wyciągnięcie wniosków służbowych w stosunku do wiceprezesa GS za nieprzestrzeganie obowiązujących przepisów.

Referentów handlowych zobowiązano do bardziej wnikliwej kontroli poszczególnych stoisk handlowych oraz meldowania zarządowi o wszelkich przejawach marnotrawstwa i niegospodarności.

J. WSZEBOROWSKI
Prezes zarządu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Łomży

*

OD REDAKCJI: List dotyczy artykułu Danuty Wroniszewskiej „Telewizory w ogniu" („Kontakty" nr 10/37).

*

Zwracam się z prośbą o poinformowanie mnie z jakiego źródła zostały zaczerpnięte informacje na mój temat, które zamieszczono w rubryce „Spięcia" — „Kontakty" nr 32.

Postawione zarzuty dotyczące handlu wódką są bezzasadne i nie otrzymanie odpowiedzi w ciągu 14 dni od daty wysłania pisma spowodują, że niniejszą sprawę skieruję na drogę postępowania sądowego, względnie proszę o zamieszczenie sprostowania w następnych „Kontaktach", ponieważ została naruszona moja opinia, a tym samym podważony został mój autorytet jako kierownika jednostki handlowej.

Proszę o jak najszybszą odpowiedź.

ZDZISŁAW TRACZ
Prezes zarządu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Rutkach

*

OD REDAKCJI: Nie zrozumiał Pan intencji naszego spięcia. Istotnie, piszemy w nim, że prezes rutkowskiego geesu „dzieli transportery z wódką" według własnego widzimisię. Chodziło nam nie o oczernianie Pana, lecz zdemaskowanie fałszywych

CIĄG DALSZY NA STR. 5

rozmowy w beczce z prochem

ADAM JERZY SOCHA

Podczas I tury Zjazdu „Solidarności" (5.09, 10.09.81 r.) przeprowadziłem z kilkoma delegatami mini-wywiady. Ich krótką formę niech tłumaczy fakt, iż na jednego delegata przypadało 0,9 dziennikarza. Do najgłośniejszych nazwisk ustawiały się niemal kolejki. Poglądów, które delegaci głoszą, nie należy brać za reprezentatywne dla całego związku. Są własnością wypowiadających się. Wywiady — za zgodą moich rozmówców — nie są autoryzowane.

Publikowany obok zestaw wywiadów z osobami, których nazwiska pojawiają się na pierwszych stronach dzienników, legalnych i nielegalnych biuletynów — wnosi do „Kontaktów" obco brzmiący akcent. Jest on wyczuwalny mimo znacznej otwartości pisma, która sprawia, że przyzwyczailiśmy już Czytelników do prezentowania — choćby w publikacjach naszego klubu dyskusyjnego „Starcia" — różnych, często nawet krańcowo różnych, zdań i opinii.

Jest wiele metod polemizowania z poglądami, których się nie podziela, a nawet uważa za szkodliwe. Ale zawsze powinna obowiązywać reguła: najpierw przedstaw uczciwie wywody swego adwersarza, a później skacz mu słowem do oczu. Proszę bardzo: obok wywody panów — Iwanowa, Jurczyka, Milewskiego i Kuronia.

W audycjach TV, artykułach i przemówieniach polityków prawie każdy z tej czwórki występuje jako uosobienie sił antysocjalistycznych, zainteresowanych demontażem państwa ludowego, żądnych władzy i robiących wszystko, żeby ją przechwycić, jeśli nie dla siebie, to dla swoich zwolenników. Czyż prezentowane obok wywody są w stanie temu zaprzeczyć?

Fakt, w tych tekstach indagowani panowie chyba po raz pierwszy tak wyraźnie odsłonili swoje zamiary; wszyscy z wyjątkiem Kuronia, który chytrze gra blotkami, zaś nas trzyma w rękach. Ale i tak wszyscy wiemy, co jest grane. Scenariusz skądsiś już znajomy, a i główni aktorzy nie tak bardzo odmienieni.

nigdy nie byłem komunistą

Zbigniewa Iwanowa z toruńskiego „Towimoru" nie trzeba nikomu przedstawiać. Twórca struktur poziomych, wydalony z partii przez CKKP. Zgodę na wywiad z nim zawdzięczam dobrej opinii, jaką wystawił naszemu pismu Ryszard Kapuściński.

— Jest pan unikatem. Zdobyć mandat na oba Zjazdy!

ZBIGNIEW IWANOW: — W PZPR doszedłem tylko do Konferencji Miejskiej, a po wykluczeniu złożyłem mandat.

— Przeżywał pan wykluczenie z partii?

Z. I.: — Nigdy nie miałem sentymentu do partii. Wstąpiłem do niej w roku 1970...

— Po grudniu?

Z. I.: — Przed.

— Zapisał się pan bez sentymentu, więc w jakim celu?

Z. I.: — Ten statut nawet ładnie wyglądał. Dawał miejsce, tak mi się wówczas wydawało, dla nieco innych poglądów. Nigdy się nie deklarowałem jako komunista, bo nigdy nim nie byłem. Rozumowałem tak: skoro PZPR powstała z fuzji dwóch partii, PPR-u i PPS-u, więc ja — oscylując wokół socjaldemokracji — mieszczę się w nurcie PPS-owskim.

— Okazało się, że się pan nie mieści, i postanowił pan przed odejściem podłożyć świnię partii tymi strukturami.

Z. I.: — To nie tak. Moje intencje były czyste. Podjąłem próbę ratowania partii. Traktowałem to jako drogę, by żyć w Polsce po ludzku. Było mi obojętne, czy osiągnie się to przez PZPR, czy „Solidarność". Wkrótce przekonałem się, że ruch poziomy to mit. Jedyne co osiągnąłem, to odwrócenie uwagi partii od „Solidarności". PZPR zajęła się zwalczaniem struktur, a związek mógł odetchnąć. Nie był to jednak efekt zamierzony przeze mnie.

— Czy nie ma możliwości współistnienia pokojowego obu organizacji?

Z. I.: — Ona by istniała, gdyby PZPR zmieniła strukturę i nadal funkcjonowała. Stary model nie pasuje do potrzeb wykształconego społeczeństwa. To już nie jest naród ciemniaków, którzy nie potrafią wybrać, co jest dla ich losu korzystniejsze.

— W jakim kierunku miałaby pójść ta zmiana?

Z. I.: — Jestem zwolennikiem pełnego pluralizmu politycznego, ale w naszych warunkach stanowi on duże ryzyko. Dlatego wymyśliłem coś zastępczego — pluralizm wewnętrzny. Nie wielość partii w państwie, a wielość frakcji w partii.

— Nie wyszło?

Z. I.: — Przestałem wierzyć w reformowalność partii; PZPR skazana jest na obumieranie w tej formie, w jakiej zastygła po Zjeździe. Nie można poważnie traktować organizacji, która przy bardzo szerokich kompetencjach nie ponosi odpowiedzialności, w naszym systemie prawnym, za podejmowane decyzje.

— Z jednej strony pluralizm to duże ryzyko, a z drugiej — projekt powołania Polskiej Partii Pracy. Jak to pogodzić?

Z. I.: — Podzielam zdanie Milewskiego. Na bazie „Solidarności" powinna powstać przybudówka polityczna. Cele, które społeczeństwo stawia przed związkiem, są pozasyndykalne. Wielu działaczy nie mieści się w ramach Statutu.

— Gdzie pan siebie widzi, w takiej partii czy w związku?

Z. I.: — Ten dylemat jeszcze przede mną nie stoi. Taka partia nie istnieje.

— Czy w „Solidarności" powoła pan również struktury poziome?

Z. I.: — W związku nie ma potrzeby ich tworzyć. Te struktury istnieją od początku, tu cały ruch jest oddolny. W „Solidarności" centralizm nigdy nie zadziała.

— Dziękuję za rozmowę.

czas pieszczot minął

Marian Jurczak, przewodniczący MKR Pomorza Zachodniego.

— Gdyby Rakowski oświadczył w telewizji, że jest pan kiepskim przewodniczącym, obraziłby się pan?

M. J.: — Rękę bym mu uścisnął. Każdemu działaczowi potrzebna jest krytyka.

— Wielu ludzi wzdycha, że można należało w marcu pójść na całość.

M. J.: — Podczas strajku generalnego trzeba by wprowadzić swój rząd. Społeczeństwo nie było jeszcze wówczas na to przygotowane. Związek nie miał odpowiednich ludzi, by zaproponować ich kandydatury społeczeństwu. Nie ma się co oszukiwać. Strajk generalny równa się przejęciu władzy. Nie sztuka wywrócić wszystko do góry nogami. Gdy się na coś takiego decydujemy, jesteśmy zobowiązani bezboleśnie przeprowadzić przez to naród. Strajk czterogodzinny pozwolił sprawdzić siłę naszej organizacji. Rząd z wielką uwagą ten strajk obserwował. Po tym strajku Kania przekonał się, że związek ma pełne poparcie dołów partyjnych. To było swoiste referendum, z którego wyszliśmy zwycięsko.

— Czy dzisiaj związek byłby w stanie wyłonić odpowiednich ludzi?

M. J.: — Raczej tak.

— Coraz częściej mówi się, że „Solidarność" traci zaufanie społeczeństwa. Oficjalnie po raz pierwszy stwierdził to Kazimierz Barcikowski. Zgadza się pan z tą opinią?

M. J.: — Barcikowski to taki sam gracz polityczny, jak Rakowski. Odpowiem panu tak: jeżeli ludzie stracą zaufanie do „Solidarności", to nigdy nie odzyska go partia.

— Mówi się o panu, że robi się pan miękki.

M. J.: — Wprost odwrotnie! Czas mija, a rząd nic nie robi, i to człowieka wyprowadza z równowagi. Stałem się bardzo stanowczy. Czas pieszczot minął.

— Kiedy ostatnio rozmawiał pan z robotnikami na swoim wydziale w stoczni „Warskiego"?

M. J.: — Zostając przewodniczącym powiedziałem, że nie będę pracował za biurkiem, a między ludźmi. W stoczni jestem bardzo często, średnio raz w tygodniu. Gdy działacz oddali się od związkowców, przestaje być działaczem, powinno się go od razu wyeliminować. Słuchać ludzi i jeszcze raz słuchać — to moja dewiza.

— Słuchając delegatów odnoszę wrażenie, że jestem na sejmiku szlacheckim.

M. J.: — Ludzie czekali na ten moment 36 lat. To jest ich święto. Muszą się wygadać, poznać wzajemnie.

— Czy można całkowicie wykluczyć możliwość manipulowania delegatami?

M. J.: — Dużo ludzi nie rozumie omawianych tu kwestii, stąd podejrzliwość, że ktoś nimi kieruje za ich plecami. Ludzie są za demokracją, nie zawsze rozumiejąc, że nie oznacza ona gadania dla samego gadania, ale sądzę, że mądrość zbiorowa zwycięży.

— Co jest w tej chwili najważniejsze dla kraju i związku?

M. J.: — Wolność. Ojczyzna nasza powinna być wolna. Tylko w wolnej ojczyźnie rodzi się wolny człowiek, a wolny człowiek, który ma możliwość decydowania o sobie, czyni to zazwyczaj z korzyścią dla siebie i otoczenia. W tym widzę klucz do bogactwa ludu i kraju.

— Dziękuję za rozmowę.

mało krzyczeć a nieustannie

Jerzy Milewski, pracownik naukowy PAN w Gdańsku, twórca „Sieci" — samorządów pracowniczych, od maja br. propaguje ideę powołania Polskiej Partii Pracy. Opracował jej wstępny statut.

— Czy mam przyjemność rozmawiać z przyszłym I sekretarzem Polskiej Partii Pracy?

J. M.: — Jeżeli taka partia powstanie, jeżeli zapiszę się do niej i jeżeli wybiorą mnie członkowie.

— Co jest pana ukochanym dzieckiem: projekt samorządu czy projekt PPP?

J. M.: — Samorządy będą fundamentem całego systemu społeczno-gospodarczego, a PPP będzie stanowić pomocniczy mechanizm. Przy-

wiązuję główną uwagę do popularyzacji idei samorządów.

— Co sprawiło, że zaczął pan propagować ideę samorządu?

J. M.: — Ta myśl dojrzała we mnie 11 lutego (1981 r.), w dniu mianowania najnowszego premiera. Uznałem, że potrzeba istnienia samorządu tkwi podświadomie w ludziach.

— Początkowo obserwowało się dużo nieufności robotników do tej idei. Dlaczego?

J. M.: — Tak, gdy wychodziliśmy z samorządem, w związku panowała linia kontra. W regionie dolnośląskim MKZ zabronił tworzenia samorządów, a teraz Karol Modzelewski jest gorącym ich zwolennikiem. Działacze wstrzymywali autentyczne dążenia dołów, sądząc, że samorządy osłabią związek, a także umożliwią manipulowanie nimi władzom. Być może wówczas związek nie dojrzał do tego, by brać na siebie odpowiedzialność za gospodarkę i wyprowadzenie kraju z kryzysu. Te opory zostały złamane przez doły, które domagały się działania „Solidarności" na rzecz reformy gospodarczej.

— A jeżeli samorządy nie wypalą?

J. M.: — Być może zawiedziemy się, ale totalnie zawiedliśmy się na zarządzeniu centralnym. Ryzyko jest małe, a nikt nie wymyślił niczego lepszego. Samorząd jest nie tylko metodą, ale i celem. Celem do humanizacji pracy.

— Jeżeli konieczność stworzenia samorządów jest ewidentna, to nie bardzo pojmuję ideę powołania partii?

J. M.: — Z inicjatywami politycznymi jest podobnie, jak z samorządami. Potrzeba wyłonienia partii jest również ewidentna. Zbliżają się wybory. Trzeba będzie wysuwać kandydatów. „Solidarność" nie może pełnić roli partii — wyłaniać kandydatów. Jest za duża: 9 milionów ludzi ma różne poglądy polityczne, różne interesy społeczne i polityczne. W tym kalejdoskopie projekt partii pracy daje możliwość wykrystalizowania się centrowych poglądów.

— Pisze pan w projekcie, że partia ta nie będzie dążyć do przejęcia władzy. Czy to listek figowy?

J. M.: — Jest zasadnicza różnica między tradycyjną partią, a tą, którą proponuję. Partia Pracy byłaby partią programową, a nie ideologiczną. Nie będzie haseł na sztandarach, lecz tylko mozolne, cierpliwe wypracowywanie programu.

— Czy to znaczy, że będzie całkowicie wypierana z ideologii?

J. M.: — Nie, ale ideologia nie będzie główną osią partii. Będzie istniała w domyśle.

— I czego możemy domyśleć się pod tym domysłem?

J. M.: — Socjalizmu. To jest oczywiste, że robotnicy nie podpiszą się pod rojalizmem.

— A pan pod czym się podpisze?

J. M.: — Gdy ta partia powstanie, podpiszę się pod socjalizmem tej partii.

— Ostatnio powstają partie jak grzyby po deszczu, czy partia pracy jest również z tej rodziny?

J. M.: — Nie sądzę. Wiele inicjatyw pachnie prowokacją. W partii pracy najniższą komórką będzie Komitet Fabryczny, który może powstać tylko za zgodą Komisji Zakładowej „Solidarności". W ten sposób wyeliminuje się możliwość powstania sztucznego tworu. Doświadczenie „Sieci" pokazuje, że jest to poprawny kierunek działania.

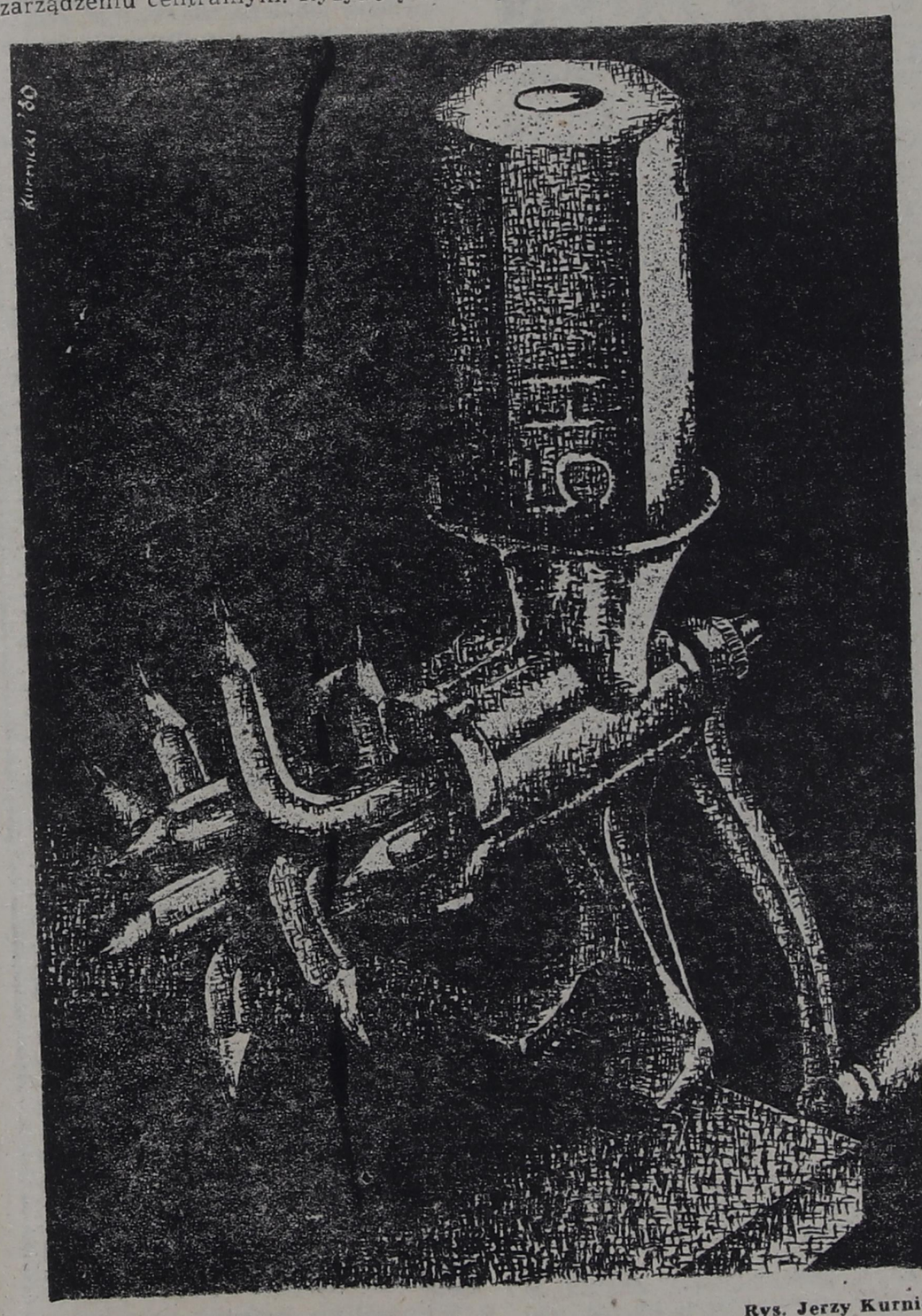

Rys. Jerzy Kurnicki

— Jaka jest pana recepta na sukces, bo przecież samorząd to duży sukces?

J. M.: — Mało krzyczeć, a nieustannie i z uśmiechem na ustach.

— Dziękuję za maksymę i rozmowę.

boję się klęski

Jacek Kuroń, ekspert KKP, członek KSS KOR. Na Zjeździe niesamowicie zalatany, pijący potrójne herbaty i wypalający papierosa za papierosem. W kuluarach podżartowywano, że Kuroń ma problem, na jaki trumwirat się zdecydować: czy „Solidarność", partia i kościół, czy „Solidarność", kościół i wojsko. Po długich podchodach zdobyłem Jacka Kuronia, który uległ i zgodził się dać „zwywiadować" specjalnie dla czytelników „Kontaktów".

— Czego pan się boi?

J. K.: — Pytanie jest egzystencjonalne, ale rozumiem, że odpowiedź ma być polityczna. Mam rozliczne strachy. Boję się zimy, nędzy, zawalenia się sieci transportu, i że wówczas cierpliwość nas zawiedzie. Boję się, że damy się wciągnąć w różne uboczne konflikty, dzielące ludzi, i że dojdzie do stanu wojny domowej, a za nią — interwencji.

— Słuchając delegatów mam wrażenie, że oni tego się nie boją, że wręcz to ignorują.

J. K.: — Ja nie powiedziałem, że należy się bać interwencji. Należy się bać podziałów, gdyż z nimi przychodzi klęska. Boję się klęski, która jest realna jak nigdy dotąd. To nieprawda, że delegaci są spokojni; oni są sfrustrowani. Z jednej strony — dobrze, że nie deliberują bez końca: wejdą, nie wejdą, bo to rozbraja wolę myślenia i działania; z drugiej — niedobrze, że nie biorą tego pod uwagę, gdyż wówczas podejmują dowolne działania. Co ważniejsze: nie myśli się o tej sferze w kategoriach posunięć ważnych, znaczących, lecz tylko pozornych.

— Na przykład?

J. K.: — Te różne symboliczne kawałki z koroną, wyrzucaniem partii ze statutu. Posunięcia takie niczego praktycznie nie zmieniają, a mogą stwarzać duże napięcia.

— Czy to, co stało się w Polsce po sierpniu, nie przerosło pana intelektualnie?

J. K.: — Jeżeli czegoś nie powiedziałem, to nie znaczy, że sytuacja przerosła mnie intelektualnie. Zdarzenia te ja przewidziałem, są one opisane w mojej książce „O programie działania" bardzo szczegółowo. Natomiast sytuacja przerasta mnie w tym sensie, w jakim przerasta wszystkich. Jesteśmy generalnie w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia. Ja przecież nie siądę i nie wymyślę: co teraz trzeba robić. Tyle wiem, że nie ma co się wysilać w zwalczaniu poglądów przeciwnika, gdyż one same się zwalczają, a trzeba wymyśleć nowe propozycje.

— Stąd to pytanie. Uchodzi pan za Wernyhorę, więc chciałem sprawdzić, ile w tym prawdy.

J. K.: — Jedni darzą mnie żywiołowym zaufaniem, a drudzy — żywiołową niechęcią. Tutaj te uczucia często się zmieniają, więc nie mogę powiedzieć, że moje słowa stanowią dla ludu wyrocznię.

— Porozmawiajmy o żywiołowej niechęci do pana. Z czego ona wynika?

J. K.: — Cały czas mnie ten przypadek prześladuje. Jakbym znał człowieka z jakiegoś przesłuchiwania. Ale to głupstwo, wróćmy do pytania. Działała przeciwko mnie zwrócona machina propagandowa i do wielu ludzi to trafiało. Druga sprawa, to reakcja prostych ludzi, którzy dysydenta nie wyobrażali sobie gdzie indziej, jak np. w Londynie czy w Monachium, a tu się okazuje, że Kuroń mieszka w Warszawie. Dla takich ludzi jest w tym coś niejasnego. Dlaczego tego Kuronia nie zamknęli? Inna sprawa: jeżeli podział na lewicę i prawicę ma jakiś sens, to ja jestem lewicowy. Nieufność do lewicy jest w tym kraju przeolbrzymiona, szczególnie w środowiskach prawicowych czy antylewicowych; nieufność o strefy wpływu. No i jeszcze to, że w młodości byłem w PZPR, jest dodatkowym czynnikiem.

— Pytanie fantazyjne: przypuśćmy, że „Solidarność" przejmie władzę, czy pan przechodzi do opozycji wobec „Solidarności".

J. K.: — Gdyby „Solidarność" stała się partią rządzącą, to natychmiast. Sytuacja jednak nie jest taka do śmiechu. Obaliliśmy stary porządek, a nie ma nowego. „Solidarność" jest ruchem obrony społeczeństwa przed złą władzą. Może być taki moment, że „Solidarność" w obliczu eksplozji będzie musiała przejmować pewne elementy władzy w mieście jak straż porządkowa, włącznie z działem żywności. I wtedy te żarty się kończą.

— Dziękuję za rozmowę.

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

opinii. Na potwierdzenie przytaczam jedno ze zdań: „Życzliwi jemu dowodzą, że wódka wędruje taki szmat drogi..." Zdanie to ma znaczenie ironiczne. Stąd nie czynimy przeprosin, bo przecież wzięliśmy Pana w obronę przed informatorem, który chciał się „odgryźć na prezesie" za to, że kiedyś tam stał w kolejce i nie kupił wódki. Zamieszczenie w prasie takiej notatki przecięło krążące o Panu złe opinie. Co do ujawnienia nazwiska informatora: — Rubryka nosi tytuł „Spięcia" i trafiają do niej różne informacje, lecz jednym z jej atutów jest utrzymywanie autorów „donosów" w tajemnicy, jeśli to zastrzegają.

*

W związku z notatką, która ukazała się w 33 numerze „Kontaktów", a następnie była przedrukowana w „Gazecie Współczesnej" z dnia 4—6 września br., w której sugeruje się, że rolnikowi J. Dąbrowskiemu „odebrano komisyjnie i solidarnościowo przyznaną dmuchawę z chwilą, kiedy wyszło na jaw, że nie należy on do NSZZ RI »Solidarność«" itd. wyjaśniamy, że na swym posiedzeniu TKG NSZZ RI „Solidarność" w Klukowie wyznaczył komisję do wspólnego podziału sprzętu rolniczego z komisją rolną GRN oraz Naczelnikiem Gminy i służbą rolną. Na pierwszym posiedzeniu ustalono, że lista przydziałów poddana zostanie społecznej konsultacji. Przyniosło to wiele zastrzeżeń rolników szczególnie do tych pozycji, których z uporem broniła komisja rolna z naczelnikiem gminy. Po upływie około tygodnia odbyło się drugie posiedzenie, które również nie przyniosło rezultatu z powodu zbyt sztywnego stanowiska przedstawicieli Urzędu Gminy. W związku z tym Zarząd Gminny NSZZ RI „Solidarność" w Klukowie, po konsultacji z WKZ, podjął decyzję o rozpoczęciu akcji protestacyjnej. Powiadomiono o tym Urząd Wojewódzki w Łomży domagając się przyjazdu przedstawiciela w okresie 3 dni celem rozstrzygnięcia nieporozumienia. Dopiero na 10 minut przed terminem rozpoczęcia akcji protestacyjnej Urząd Gminy zobowiązał się do wyjazdu w teren i ustalenia komu sprzęt ten jest najbardziej potrzebny. Po dokładnym sprawdzeniu w terenie otrzymaliśmy listę przydziałów, która była całkowicie inna od poprzedniej, co potwierdziło, iż poprzednia sporządzona była zza biurka. Po wprowadzeniu nielicznych korekt lista została przez nasz związek akceptowana. M.in. zmieniono przydział na dmuchawę. Odebrano ją Józefowi Dąbrowskiemu zam. w Żebrach Wielkich, a przydzielono Romanowi Wyszyńskiemu z Piętk-Grązk. Obaj są członkami związku od wiosny br. Sugestia, że Dąbrowski utracił przydział tylko dlatego, że nie może wykazać się przynależnością jest bzdurą. Zobowiązano się przydzielić mu dmuchawę przy najbliższym rozdziale. Roman Wyszyński posiada gospodarstwo o powierzchni 24 hektarów, prowadzi hodowlę owiec (ponad 100 matek) i pisał podanie o ww dmuchawę. Za to, że podanie gdzieś zaginęło nie ponosimy odpowiedzialności. Nie jest to wyjątek — ginie więcej podań. „Coś to nam przypomina", tak i to bardzo, zwłaszcza że ci, którzy wykazują się odpowiednią przynależnością mogą otrzymywać po kilka maszyn rocznie w kolejnych przydziałach. Ale na to trzeba mieć specjalną przynależność, nosić legitymację o charakterystycznym kolorze.

Za Zarząd Gminny
NSZZ RI „Solidarność"
w Klukowie
(trzy podpisy nieczytelne)

*

W „Kontaktach" z 5 lipca br. zamieszczony był pamiętnik Wieśka z Dobrzan. Część pamiętnika zatytułowana „Mam kiedy chcę" bardzo mnie poruszyła. Nie zgadzam się z jego zdaniem: „obecnie dziewczyny — są tylko do seksu, bo ani nie posprzątają, ani nie ugotują, nie upieką, tylko oglądają się na mamy, ale co będzie kiedy mamy odejdą" Mam

CIĄG DALSZY NA STR. 13

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

dziedzictwo

włosy pod kolanem

„Echa Płockie i Łomżyńskie", jedno z wielu typowych czasopism prowincjonalnych zaczęły się ukazywać blisko sto lat temu. Dwa razy w tygodniu czytelnicy z obu guberni otrzymywali serwis najnowszych wydarzeń, opinii, ogłoszeń i plotek. W miarę upływu czasu przybywało na łamach także listów. Donoszono w nich o kaprysach aury, stanie zasiewów, krwawych wypadkach i niezwykłych zdarzeniach; z lubością także moralizowano, grzmiąc na postępującą demoralizację. Wręcz do dobrego tonu należało też piętnowanie ciemnoty ludu wiejskiego oraz małomiasteczkowego — w guberni łomżyńskiej „niegramotni" stanowili ok. 70 proc. ogółu ludności. Wszelkiej maści oszuści, znachorzy, pokątni doradcy, wróżbici i czarodzieje mieli szerokie pole do popisów. Odtwórzmy na podstawie zapisów z „Ech Płockich i Łomżyńskich" sposoby oraz okoliczności ich działania.

Pożądane rubelki

Niezależnie od stosunku do caratu, rubelki należało cenić jako walutę stabilną, zdobywaną z trudem, a wydawaną po głębokim namyśle. O Kurpiach mówiono nawet, że chodzą pieszo do Warszawy, byle nie pomniejszyć zasobu krążków z podobizną Mikołaja II. Ukrywano owe monety, a także banknoty, tradycyjnie: za obrazami świętych, w pierzynach, w wydrążeniach nóg od stołu, rzadziej zakopywano w obejściu. Na tak ulokowane walory czyhali złodzieje. Reżyserowali sztuki i sztuczki, błyskając pomysłami, refleksem, także znajomością psychiki bliźnich.

Opisana w „Echach..." oszustka z Płockiego odgrywała wobec napotkanych osób rolę nieszczęśliwej kobiety, zmuszonej do pożyczenia pieniędzy na trumnę dla zmarłego ojca, ślub córki, ewentualnie na uratowanie od głodowej śmierci dzieci pozbawionych dachu nad głową (pożar). W zastaw oferowała weksel na 100 rubli, oczywiście — sfałszowany. Podobnej argumentacji, tyle że bez rekwizytu w postaci weksla, używała i część żebraków („nagich dusz"), których „czerstwość i zdrowie [...] daje wymowny dowód odżywiania się stosunkowo dobrego, braku trosk o jutro oraz humoru często monopolką naprawianego". Przy okazji redakcja zauważyła z przekąsem, że żebraków bliźni obdarowywali głównie z egoistycznych pobudek, w trosce o własną duszę, skalaną grzechami i grzeszkami.

Barwną scenografię zaprojektowało dwóch oszustów w okolicach Ciechanowca. Zgłosili się oni do włościanina o pomoc w odkopaniu skarbu. Po kilkunastu minutach łopaty zadzwoniły o okucia skrzyni, w której leżały krążki o barwie srebra i złota. Z podniszczonej skrzyni (zakopanej przez aferzystów kilka godzin wcześniej) wyjęto monetę i wysłano z nią chłopa po wódkę. Karczmarz rozwiał wszelkie wątpliwości — szczere złoto! Po małej uczcie inicjatorzy przedsięwzięcia zgodzili się oddać naiwnemu wspólnikowi „skarb" na przechowanie za zastaw w wysokości 400 rubli. Łatwo się domyśleć, że zawartość skrzyni — poza tą jedyną monetą — stanowiły bezwartościowe blaszki.

Można też było upatrzonego na targu chłopa poprosić o odniesienie — przy okazji — listu adresowanego do proboszcza, aptekarza lub nauczyciela. Wdzięczny nadawca oferował rubla za usługę, ale miał akurat przy sobie banknot o wyższym nominale. Gdy ofiara, dla wydania reszty, wyjmowała swój woreczek z oszczędnościami, oszust chwytał go i uciekał.

Do włościanina, który dopiero co sprzedał dwa woły i zainkasował 150 rubli, podszedł młodzik: „Dzień dobry wujowi" — ukłonił się grzecznie i pocałował w rękę, „Wuj" się zdziwił, pomyślał i odrzekł po chwili: „To chyba asan po onym Józefie". Na konto spotkania udali się do gospody. Młodzian spytał „wuja" o przebieg transakcji. Dowiedział się, że ten nosi pieniądze w woreczku zawieszonym na piersi. Toć to niebezpiecznie, bo każdy złodziej może się od razu domyśleć. „Wuj" zgodził się przewiesić woreczek na plecy, ale ręce odmówiły — po którejś tam wódce — posłuszeństwa. „Kuzyn", oczywiście pomógł, a ofiara wróciła do domu bez rubelków.

Równie uczynni „kupcy" spod Czyżewa wyhandlowali krowę od babiny, a należne jej pieniądze sami zawiązali w chustkę. Krowa okazała się warta zaledwie kilka miedziaków.

Starą metrykę mają oszustwa karciane. Ledwie uruchomiono w Królestwie Polskim pierwsze koleje żelazne, a już w pociągach pojawili się organizatorzy gry w trzy karty. Wchodzili do wagonu, pierwszy z grupy wyjmował poduszkę, zapalał świeczkę i wołał: „Ogłoszenie: panowie, ciarna psiegrywa, cierwona wygrywa". Potem dołączał drugi koleżka, czasami trzeci i czwarty — ci rzeczywiście wygrywali. Biada jednak postronnym amatorom hazardu.

Plaga doradców

„Naganiacze", liczni zwłaszcza w miastach guberialnych i powiatowych, oczekiwali z utęsknieniem dni targowych. Zaczynali rozpoznawanie klientów już na drogach dojazdowych, przysiadając się na furmanki, zaczepiając pieszych. Pytali o proboszcza, wspólnych znajomych, a w zależności od pory roku — o stan ozimin, jarzyn lub wysokość plonów. Wiadomo: swój człowiek, z którym można poważnie porozmawiać i któremu można zaufać. Potem dyskurs przechodził na sprawy w sądach. A kto ich nie miał? Pieniactwu sprzyjała szachownica gruntów, a we wsiach chłopskich — i serwituty. Brakowało instytucji oraz klimatu dla polubownego rozpatrywania sporów na miejscu, w gminach.

„Naganiacz" upewniał się jeszcze, czy potencjalny klient dysponuje zasobem gotówki, i zaczynał się dialog: „Proszę pana mecenasa, mój 70-letni ojciec ma całą włókę gruntu i nie chce za życia rozdzielić pomiędzy dzieci, a przy tym nie chce umierać". „Co! Nie chce umierać ani podzielić osady, choć ma lat sto!" Tu rzekomy mecenas wyjmował kalendarz Ungra na rok 1867 i wskazując — nie umiejącej przecież czytać ofierze — przepis dla gospodyń o kwaszeniu ogórków na zimę, zapewniał, że według Kodeksu Napoleona sprawa jest czysta i wygrana pewna. Chłop połykał przynętę i obaj kierowali się do „adwokata". Po drodze doradca kłaniał się na prawo i lewo ledwie znanym lub zupełnie obcym osobom, informując, że to gubernator, to naczelnik powiatu, to szef żandarmerii, a wszyscy przyjaźnie doń ustosunkowani. Można było także zajść do sądu, by poczęstować „prezesa woźnego" papierosem. Oczywiście droga wiodła koło gospody. W końcu, zmęczony już porządnie, chłop trafiał do siedziby „adwokata". Drzwi otwierała pani domu: „Mecenas przez całą noc przyjmował klientów. Ubiera się w tej chwili, trzeba trochę poczekać". Wchodził „mecenas" w szlafroku, doradca całował go w rękę i przedstawiał błagalną prośbę. Ten odmawiał, bo sprawa błaha, a terminy gonią, ważne figury się niecierpliwią, urzędy ślą monity. „Naganiacz" rzucał się do nóg: „Ratuj biednego, nieszczęśliwego człowieka. Ty jeden, panie mecenasie, przy swej umiejętności i uczciwości, możesz sprawę wygrać". Łaskawca ulegał i ustalał wstępne honorarium (50—75 rubli), płatne za tydzień. Potem trzeba było zaciągać pożyczki u lichwiarzy. Należności sięgały kilkuset rubli. W finale „mecenas" ulatniał się z miasta, zacierał za sobą ślady, a ofiara emigrowała najczęściej za Ocean.

„Adwokat" łomżyński pobierał też pieniądze i pisał w imieniu klientów skargi do władz, które następnie nosili na pocztę sami zainteresowani. Analfabeci nie wiedzieli jednak, że na kopertach widniał adres wspaniałomyślnego „mecenasa".

W sidłach znachorów

W końcu XIX w. średnio na jednego lekarza cywilnego przypadało w guberni łomżyńskiej około 13 tysięcy mieszkańców. Za mało było także personelu pomocniczego, szpitali, aptek. Przed I wojną brakowało lekarzy między innymi w Jedwabnem, Nowogrodzie, Sokołach, Wiźnie. Przeszkolona, legalnie pracująca akuszerka mieszkała w co drugiej gminie. Mówiono, że na Kurpiach doktór „(...) może być porównywalny z misjonarzem, nawracającym dzikich na prawdziwą wiarę". Osady i miasteczka prześcigały się w zapewnianiu eskulapom jak najlepszych warunków pracy. Z kolei niektórzy epigoni Hipokratesa podnosili systematycznie opłaty za wizyty; odmawiali także wyjazdów w teren. Mieszkańcom wiosek peryferyjnych wystarczyć musiała wizyta u znachora.

Znachorka pod Płockiem przyjmowała tylko w środy i piątki, więc przed drzwiami domu ustawiały się liczne grupy strapionych. W salonie na stole stały trzy krzyże, a na ścianie wisiały trzy różańce. Miejsce centralne zajmowała kołyska, którą podczas wizyty należało bezustannie poruszać. Baba w momencie wejścia chorego udawała śpiącą, zrywała się nagle i udzielała porady. Leki zapisywał „sekretarz" — bazgroła. Korespondent „Ech..." donosił, że baba się gniewa, „jeśli kto do niej przywiezie chorego, gdyż wystarczy opisać chorobę, na którą znachorka daje natychmiast odpowiednie lekarstwo, przyczem żąda, aby nikt o niej źle nie myślał i źle nie mówił". Wmawiali wręcz chorym, że zwątpienie w możliwości znachora i w trafność porady odbiera moc lekom, pogarsza stan zdrowia, ba! — prowadzi nawet do zadania uroku. Skutek był taki, że na ogół chorzy unikali znachorów mieszkających w pobliżu. O znakomitym prosperowaniu interesu świadczy choćby fakt wynajmowania pisarzy do powielania recept. Za leki „gotowane pod szpontem w czarnym garnku, o zachodzie słońca, w wigilię św. Idziego" brali znachorzy i po 10—15 rubli.

Oto kilka oryginalnych recept: *„Okłady — liście brzozowe prażyć i 9 dni okładać, z apteki lekarstwo Ebalsamatyczne puł kwarty do smarowania. Do picia lekarstwo Ebalsamatyczne pułkwaterek co 3 1/2 godz. łyżeczkę. Maści Bożej 2 paczki do smarowania. Wino polskie za 1 rubel, święcone, kielyszek naczco. Gurne ziułka za 45 groszy, 4 1/2 kwarty wody zrobić z tego; smarowanie 18 dni robić; włosy pod kolanem nosić". Przy chorobach reumatycznych: „Krymskiego wina za 35 kopiejek, naczco codziennie kieliszek. Za 15 kopiejek kolendru, za 10 kopiejek dziewanny, za 5 kopiejek lekrecji; wszystko to ugotować z 5-ciu kwartami wody i pić trzy razy dziennie po kwaterce z 2-ma kawałkami cukru".* Zbolałe członki należało smarować, po uprzednim obmyciu wodą gulanową, mieszaniną złożoną z dwóch garnców koźlego sadła, osypanego lipowym kwiatem, i psiego sadła za 30 kopiejek. Kuracja trwała 9 dni, w ciągu których chory, poza „lekami", mógł pić wyłącznie kawę mleczną z dodatkiem oliwy, a w nocy — piwo bawarskie. Na ból w ramieniu skutkować miał mech z dachu rozdrobniony ze smalcem żmii. Kobiecie z „bólem w ręku" znachor puszczał po prostu krew przez dni sześć, na zmianę: z ręki i nogi. Wściekliznę leczyły — zasuszone i przechowywane w miodzie — szczypawki. W Łomży, za radą znachorki, matka zanurzyła w dole z nieczystościami dziecko chore na suchoty, na które dobra też była dwunastoletnia słonina.

Niejaki Szylkie, specjalista od kołtuna, mocował sznur do łóżka chorego, a koniec wypuszczał za okno. Wystarczyło podpalić sznur przy łóżku i patrzeć, w którym miejscu ogień zgaśnie: *„jeśli za oknem, to znaczy, że chory musi już wyjść z izby, musi się udać w świat inny".* Przy chorobie dziecka gospodarz miał uwiązać siekierę na sznurze zwisającym z sufitu i do drugiego końca toporzyska podwiązać koszyk z niemowlęciem. Jeśli przeważył koszyk, nie było ratunku, jeśli siekiera — dziecko wyzdrowieje. W przypadku opisanym w „Echach..." koszyk przeważył, zsunął się z toporzyska, a chłopiec upadł na podłogę i potłukł się tak dotkliwie, że zmarł po tygodniu.

Ze znachorami konkurowali poniektórzy felczerzy, zwłaszcza dymisjonowani z wojska, oraz babki wiejskie. W okolicy Nowogrodu felczer zaaplikował choremu środek na wymioty, po czym włożono nieszczęśliwego na wóz i wożono „dobrym kłusem" w poprzek przez zagony. Gdy i to nie pomogło, dwóch mężczyzn podniosło chorego za nogi i — trzymając głową w dół — potrząsało silnie. „Zabieg" taki skończyć się mógł tylko śmiercią ofiary.

Grozę budziły niektóre metody leczenia domowego. Lud uważał, że „środki na chorobę powinny być co najmniej dwa: jeden wewnętrzny, mający robić wstręt chorobie w człowieku, a drugi jednocześnie zewnętrzny (maście, rozmaite smarowidła, pijawki, bańki, jodyna, okłady, kąpiele), który ma choroby odciągać na zewnątrz".

Groźba uroku

Korespondent z pow. kolneńskiego doniósł, że lud tamtejszy bardzo wierzy w odczarowywanie uroków, zamawianie róży i febry, uspokajanie „gorącej krwi", leczenie suchot i niemocy przez okadzanie, smarowanie i z pomocą różnych innych manipulacji szalbierskich. Zdarzyły się ponoć wsie nawet z pięcioma czarownicami, nie licząc świetlików i duchów. Mieszkańcy jednej z wiosek w Płockiem uznali, że suszę w roku 1902 spowodowała czarownica, która opanowała wyspę na pobliskim jeziorze. Niestety, nie znaleziono srebrnej, poświęconej kulki, a tylko z jej pomocą można było przegnać przeklętą.

Wzmagał się antagonizm między znachorami a czarownicami. Chłopu spod Rypnina znachorka nakazała wręcz zabicie czarownicy — za zadanie uroku — w osobie siedemdziesięcioletniej ciotki chorego. Na szczęście w realizacji tego polecenia przeszkodzili sąsiedzi.

Lekarstwo na czary składało się z czterech maści i cudownego ziela „wroniec". Wszystko to należało gotować całą noc, a nad ranem „czarownica, sprawczyni choroby, sama doń przyjdzie". Odbieraniu krowom mleka skutecznie przeciwdziałała kreda poświęcona w dniu Trzech Króli, najprostszy zaś sposób uwolnienia się od zadanej choroby wymagał ramego wstawania i biegu pod figurkę świętego. Tam należało wygrzebać dołek, napluć weń, przykryć lekko darniną. Pierwsza osoba, która zbliży się do figury, przejmie chorobę, i zabawę można zaczynać od początku.

Walka z czarami środkami konwencjonalnymi na nic się zdała. Jedna z ofiar zaskarżyła znachorkę do sądu, ale szybko wycofała pozew, gdyż pozwana zagroziła zadaniem kołtuna i wpędzeniem diabła.

ADAM DOBROŃSKI
Fot. CAF — TASS

dyskretny urok drobnych przestępstw

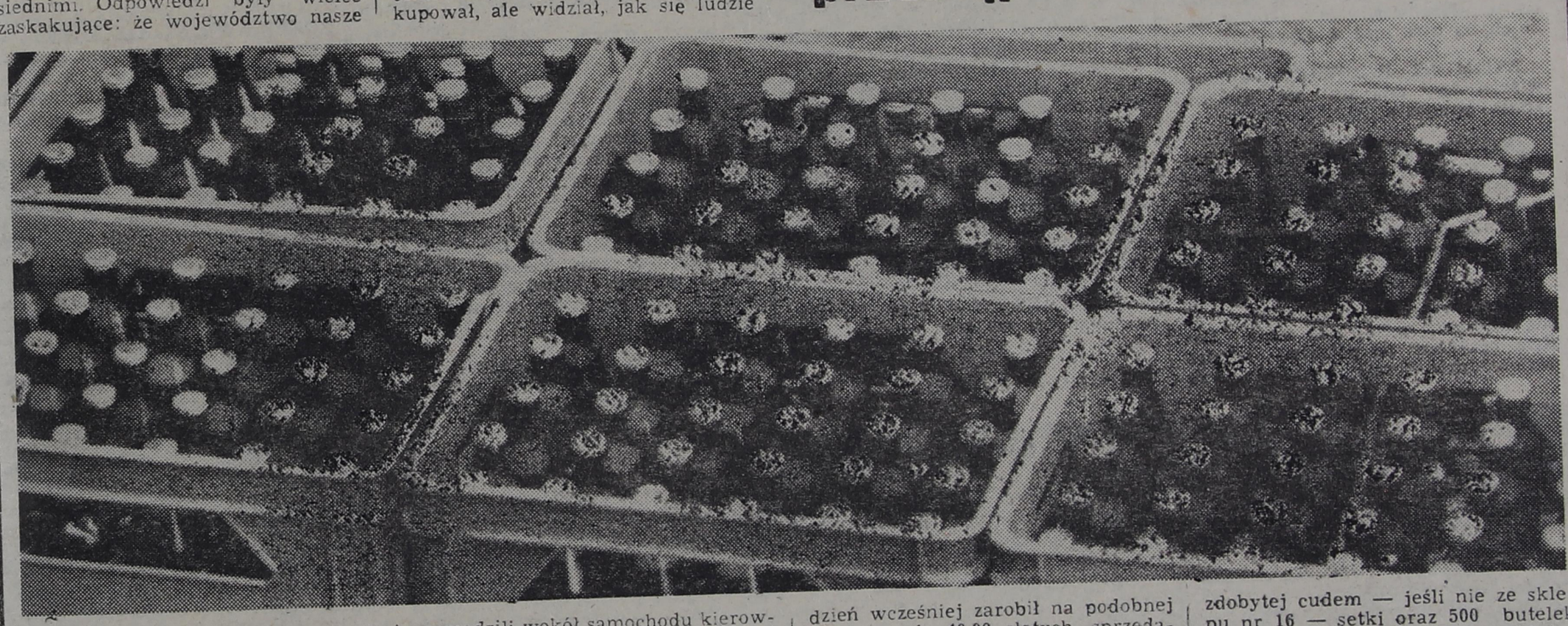

— Ma pani szczęście — powiedział mi naczelnik Wydziału Przestępstw Gospodarczych Komendy Wojewódzkiej MO, kpt. Romuald Skrodzki. — Jak na życzenie przydarzyła się okazja uczestniczenia w akcji. Nie będzie to nic rewelacyjnego, ale jednak nie same papiery. Sprawa jest świeżutka, wczorajsza.

Dnia 24 września br. dwaj pracownicy Przedsiębiorstwa Transportowego Handlu Wewnętrznego sprzedawali na terenie Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, wprost z samochodu dostawczego, wino o nazwie „Podlaskie" po 60—70 złotych za butelkę. Przyłapani na gorącym uczynku — Eugeniusz M. (lat 27), kierowca ekspedytor, oraz Stanisław M. (lat 28), ładowacz — znaleźli się w areszcie.

Wina zatrzymanych była ewidentna, moje „szczęście" polegało na tym, że miałam uczestniczyć w procesie ustalania ewentualnych wspólników, którzy pomogli podejrzanym w uzyskaniu wina w transporcie przeznaczonym dla pięciu zambrowskich sklepów, a tym samym ułatwili jego pozasieciową sprzedaż i nielegalny zarobek.

Po drodze do magazynu monopolowego WSS „Społem" w Łomży zajechaliśmy z podporucznikiem Władysławem Zygarlickim do wiceprezesa ds. handlowych Spółdzielni, Wiesława Dębińskiego, aby zabrać stamtąd komisję inwentaryzacyjną. Wiceprezes, uprzedzony telefonicznie przez porucznika Stanisława Czapkę o potrzebie natychmiastowego zwołania komisji, zbierał właśnie ludzi, więc w chwilach oczekiwania zaspokajaliśmy swoją ciekawość na temat przyczyn drastycznych niedostatków rynku łomżyńskiego i jego specyficznej inności (mówiąc oględnie) w porównaniu z województwami sąsiednimi. Odpowiedzi były wielce zaskakujące: że województwo nasze jest od macochy, bo otrzymuje mniejsze, nadziały (np. Ostrołęka i inne satelitarne względem stolicy województwa mają odciągać od sklepów warszawskich ludzi z zewnątrz); że można by postarać się o lepsze zaopatrzenie dla Łomżyńskiego, lecz tylko kosztem innych regionów, a takie starania miałyby znamiona gorszącego cwaniactwa; nie da się zapobiec wykupywaniu atrakcyjnych towarów spożywczych przez pracownice i pracowników WSS, którzy przecież mają najszybsze informacje o nadziałach, a do tego duże rodziny i sporo znajomych, także łaknących zaopatrzenia.

Wreszcie komisja pojawiła się w komplecie. Nagłym wtargnięciem wywołaliśmy w kantorku magazyniera nieco zamieszania. Kierownik nie mógł się zdecydować, czy ma wydawać alkohol konwojentom, czy pierw uczestniczyć w inwentaryzacji. Podporucznik Władysław Zygarlicki postanowił za niego: współodpowiedzialna za magazyn żona będzie wydawać towar; on w tym czasie porozmawia z mężem.

Zdenerwowanie pary magazynierów wprowadziło nastrój emocji. Do końca nie umieli ustalić, kto z nich ubiegłego dnia, 24 września, wydawał wino, a więc mógł się pomylić na korzyść zatrzymanych podczas jego sprzedaży. Witold Sochalski wiedział na pewno, że po załadowaniu wina obaj podejrzani sprzedawali je pracownikom budowlanym WSS-u tuż przy rampie magazynu. Komu dokładnie — nie miał ochoty powiedzieć. Kiedy podał do protokołu swój wiek (36 lat), pomyślałam sobie, że praca w magazynie monopolowym z pewnością źle służy nie tylko jego pamięci, ale i zdrowiu.

Ekspedytor i ładowacz z PTHW pobrali w tym dniu 1605 butelek wina po 58 złotych w opakowaniach po 25 i 12 sztuk. Magazynier zdecydowanie nie przyznawał się do przekazania im jakichkolwiek nadwyżek; dopuszczał jedynie możliwość pomyłki o — drobiazg — kilka skrzynek, bo przecież ci dwaj amatorzy łatwego zarobku zdążyli sprzedać pod „Bawełną" 82 butelki, a przecież zaczęli handel jeszcze pod magazynem.

— Wie pan — tłumaczył niezręcznie Witold Sochalski — nigdy pewności mieć nie można. Jestem teraz przekonany, że wino zostało wydane zgodnie z fakturą, ale co potem wyjdzie, co wykaże inwentaryzacja...

— No to może pan ze spokojnym sumieniem protokół podpisać? — próbuje jeszcze bardziej rozchwiać jego niepewność dochodzeniowiec. — Ale, powiem szczerze, potem nie chciałbym znaleźć się w pana skórze, jeśli tamci dwaj powiedzą, że pan im wydał coś poza fakturą.

— Chodzi o to, że ja im niby luzy jakieś opchnąłem? Absolutnie nie. Mogę podpisywać.

Ładowacz magazynowy, Władysław Lesicki, który ma w umowie o pracę zawile brzmiącą funkcję — „maszynista urządzeń przeładunkowych...", choć posługuje się wyłącznie własnymi kończynami — ustala jednoznacznie, że wino na Zambrów wydawała wczoraj pani Danusia Sochalska, natomiast nie jest w stanie powiedzieć, z ilu miejsc magazynu pobierał je wraz z dwoma kolegami i wynosił na rampę „dla Staśka i Miśka": może z dwóch, a może z czterech, bo są różne pojemniki, a były też dwa gatunki win „Podlaskie" i „Słowiańskie" — po tej samej cenie. Nie, on przed rampą wina nie kupował, ale widział, jak się ludzie gromadzili wokół samochodu kierowcy z PTHW; nie przyjrzał się im, bo nie miał na to czasu.

— Ja się przy ładowaniu pomylić nie mogę, bo zawsze skrzynki liczy magazynier, a my tylko wynosimy. No, chyba że trzeba wynieść tylko cztery pudła, to już sami wyliczymy. Ogólnie nie wiem, co tu się dzieje, bo dostaję od Witka prikaz i zasuwam.

— Może udało się wam oszukać kierownika i załadować trochę wina z innego miejsca niż normalnie?

— On tylko sam może siebie oszukać, bo ma fakturę.

— Proszę przeczytać i podpisać. Przeczytać, powiedziałem, bo mogłem wpisać, że pan kupował to wino z samochodu, a teraz chce dobrowolnie iść do aresztu.

Żart nieco zmroził ładowacza. Znów zaczął się zaklinać, że nikogo z kupujących dokładnie nie widział. Gdy wyszedł, zniecierpliwiony asekuranctwem obu rozmówców podporucznik Zygarlicki powiedział do mnie: — No i proszę, taka jest mentalność ludzka. Żaden nic nie powie, nie pomoże, a potem narzekają, że nie ścigamy przestępców. Nie mamy tu już czego szukać. Resztę zrobi (myślę, że uczciwie) komisja inwentaryzacyjna. Jedziemy do Zambrowa. Tamtejsza Komenda MO prowadzi postępowanie przygotowawcze.

Komendant, kpt. Tadeusz Danowski, bardzo pogodny człowiek mimo doskwierających braków kadrowych przy rosnącym tempie wszelkiego rodzaju przestępczości, jak to bywa zazwyczaj w latach kryzysowych, pozostawił mnie pod opieką młodszego chorążego Czesława Suchockiego, kierownika Referatu Dzielnicowych i Posterunkowych. Razem z nim i Władysławem Zygarlickim zastanawialiśmy się nad sensem czynu Eugeniusza M. i Stanisława M. Bo weźmy, na przykład, specjalistów od zabaw wiejskich: pozabiegają trochę, pomyślą, poryzykują, lecz efekt ich starań jest wymierny i dający się przeliczyć na spore dobra materialne. Tacy choćby Kazimierz K. z Zambrowa, Ludwik T. i Kazimierz Zbigniew O. z Cieciorek wyciągnęli przez dwie noce 72 400 złotych czystego zysku na zabawach zorganizowanych w Cieciorkach w dniach 18 i 19 sierpnia br. Do nich należało jedynie zgodzenie orkiestry i zaopatrzenie bufetu; resztę sprawiło piwo, które sprzedawali prawie pięciokrotnie drożej, bo po 25 złotych za butelkę. Wpadli przez zwykłą chciwość i małostkowość, bowiem nie zdecydowali się przekazać na konto ZSMP nawet wykazywanej w zarobkach kwoty, czyli 1420 złotych, a przecież pod egidą Związku wzbogacili się tak błyskawicznie, choć żaden z nich jego członkiem nie jest, a Ludwik K. już 27 lat temu przekroczył górną granicę wieku „młodzieżowego". Jego syn Bogdan tydzień wcześniej zarobił na podobnej imprezie ok. 40 00 złotych, sprzedając piwo po tej samej cenie. Również na konto — firmującej zabawy — organizacji młodzieżowej nie przekazali swego utargu inicjatorzy hulanek 23 i 24 maja w Cieciorkach, którzy jednak z sumy blisko 100 tysięcy zapłacili 1000 złotych podatku i uregulowali zaległe składki kwotą 1500 złotych... W Długoborzu Czesław S. sprzedał 3900 butelek browarowego pełnego po 30 złotych, posługując się sfałszowanym zapotrzebowaniem miejscowego kółka rolniczego; utargu — rzecz jasna — nie oddał do dyspozycji tegoż kółka, natomiast postarał się o fałszywe oświadczenie sklepowej, zaniżające ilość sprzedanych butelek do 500 sztuk. W gminie Szumowo potrzeby rozrywkowe wsi zaspokajał człowiek działający pod egidą LZS-u i ZSMP łącznie. Cel organizowanych przez niego zabaw — fundusz PCK — okazał się fałszywy, jak jego nazwisko.

Przykłady można mnożyć. Statystycznie już każda wieś w województwie nabiła kabzę takiemu amatorowi łatwego zarobku, i gdyby wystarczyło funkcjonariuszy, można by było w ciągu dwu sobót dopaść na miejscu akcji każdego z nich, ale funkcjonariuszy wciąż brakuje, więc trzeba czekać na tzw. cynk lub wpadkę przez pazerność na każdy grosz.

— No, dobrze — myśleliśmy głośno — handlarze piwem ryzykują utratę wolności na 0,5—5 lat dla sum rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych. Co uzyskali swoim postępkiem Eugeniusz M. i Stanisław M., narażając się na podobny wyrok?

W toku postępowania przygotowawczego ustalono, iż na rampie magazynu monopolowego w Łomży spieniężyli oni 90 butelek po 60—70 złotych za sztukę. Wraz z utargiem pod zambrowską „Bawełną" zarobili łącznie około 2000 złotych. Wystarczyłoby im na dobrą kolację w średniej klasy lokalu. Gdyby im uszło na sucho. Ale nie uszło.

Pytanie ich o sens tego kroku wydawało mi się bezcelowe. Mogła go podyktować tylko głupota.

Skąd jednak uzyskali nadwyżki wina, jeśli nie współdziałał z nimi kierownik magazynu? Odpowiedź znajdowała się już w protokołach. Otóż kierowniczka sklepu nr 8 zgodziła się przyjąć za 40 butelek pieniądze, podobnie jak jej koleżanka ze sklepu nr 32, która otrzymała 75 butelek zamiast 125. W ten sposób pokryli oni niedobór wina powstały na skutek handlu pod magazynem WSS-u w Łomży. Równie wspaniałomyślna okazała się kierowniczka placówki handlowej nr 16, która od ręki sprzedała „Misiowi" i „Stasiowi" 100 butelek wina „Podlaskiego", aby mogli sobie na nim zarobić — mniejsza z tym, gdzie; to już przecież nie jej sprawa. A że musieli udać się do „Bawełny", dokąd mieli dostarczyć olej rzepakowy, skorzystali z okazji i upłynnili 82 butelki opuszczającej zakład pierwszej zmianie. Więcej sprzedać nie zdążyli, ale wśród nabywców dwóch butelek zdołał się znaleźć nawet jeden ze strażników przemysłowych!

Szczodrobliwa pracownica sklepu nr 16 gorączkowo zapiera się faktu sprzedania tych stu butelek, natomiast ta ze sklepu 32 przezornie sporządziła notę, informującą przełożonych o samowolnej wymianie towaru na pieniądze przez dostarczycieli i — wraz z sumą 2900 złotych — odłożyła ją do szuflady. Samochód z zarekwirowanym winem mieścił jeszcze te osiemnaście ze zdobytej cudem — jeśli nie ze sklepu nr 16 — setki oraz 500 butelek na zaopatrzenie sklepów 31 i 34 (po 250 sztuk). Trudno przesądzać sprawę, ale może i one stworzyłyby dostawcom szansę dodatkowego zarobku?

Czy ich koleżanki robiły to z „dobrego serca", czy też otrzymały jakąś drobną prowizję? Jak długo takie praktyki mogły trwać, ile razy się udawać? Jak wiele osób dziennie w województwie pociąga dyskretny urok drobnych przestępstw?

W ciągu ośmiu miesięcy br. stwierdzono na terenie Łomżyńskiego aż 254 przypadki naruszenia przepisów obowiązujących w obrocie towarowym. Spekulanci — łącznie ze „specjalistami" od zabaw wiejskich z drogim piwem — zarobili w tym czasie 903 688 złotych, a ekspedienci zdołali ukryć przed nabywcami towar wartości 894 793 złotych. Nie trzeba chyba dowodzić, ile zabiegów kosztowało wykrycie tych przestępstw i wykroczeń na szkodę konsumenta. Wyszły one na jaw w wyniku 1423 kontroli placówek handlowych oraz 57 „nalotów" na bazary i targowiska. Potem następowały liczne wnioski do kolegiów (89) lub postępowania przygotowawcze (48). We fragmencie jednego z nich „miałam szczęście" uczestniczyć i ja.

Z okazji Dnia Milicji Obywatelskiej życzę wszystkim Funkcjonariuszom, aby raz na zawsze stracili swą pewność siebie ci, którzy powyższe czynności prowokują. Nawet kosztem mojego „szczęścia".

STEFANIA HENCZELOWA
FOT. GABOR LÖRINCZY

bez pardonu

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

*

„KONTAKTY": — Coraz częściej słyszy się zdanie: najdłuższym po Sierpniu strajkiem okupacyjnym jest „strajk" administracji, która nie chce wyjść poza opłotki biurokratycznego myślenia. Aby dać szansę na przełamanie tego stwierdzenia pytamy: Co najbardziej przeszkadza w pracy naczelnika?

ZYGMUNT JUREWICZ: — Przede wszystkim trudna sytuacja: brak środków produkcji, opału, towarów w sklepach. Z tego powodu interesantów najczęściej odprawiam z kwitkiem, a wiadomo, jak wpływa to na ocenę pracy administracji. Ludzką sprawę można załatwiać wszędzie — w oborze, na ulicy, na polu — jeśli się każdego nią usatysfakcjonuje. Na nic się zdadzą najładniej urządzone gabinety, gdy moją jedyną odpowiedzią są bezradnie rozłożone ręce. Pozycję naczelnika deprecjonuje nie tylko obecna sytuacja. W wielu przypadkach jestem bezsilny wobec często bzdurnych, wzajemnie wykluczających się przepisów, które rzekomo mają mi pomagać.

„KONTAKTY": — Wielu goniądzan uważa, iż nie bez znaczenia jest tu również fakt, że został pan „przywieziony w teczce"; nie zna pan środowiska i specyfiki jego problemów. Mają przekonanie, iż „swój' rządziłby lepiej.

ZYGMUNT JUREWICZ: — Sądzę, że swój czy obcy ma te same szanse. Jeśli nie ma na przykład środków na budowę Wiejskiego Domu Towarowego, to nawet najlepszy goniądzki patriota nic tu nie wymyśli.

„KONTAKTY": — Ale pomieszczenia Urzędu Miasta i Gminy może chyba utrzymać w czystości?

ZYGMUNT JUREWICZ: — Oczywiście! Jeśli uda mu się załatwić środki pokątnie.

„KONTAKTY": — Słyszymy o niemocy, a jednak — świadczą o tym sygnały od Czytelników — naczelnik w Goniądzu dzieli i rządzi. Bez oglądania się na samorząd, komisje społeczne, opinię publiczną.

ZYGMUNT JUREWICZ: — Odpowiadam, więc decyduję. Choć i tu nie wszystko zależy ode mnie. Podam przykład: po półroczu władze wojewódzkie doszły o wniosku, że komisyjny podział sprzętu nie był zbyt sprawiedliwy. Dlatego postanowiono, że komsja będzie jedynie opiniować, przydzielać zaś — naczelnik. Proszę, oto pismo, podpisane przez wicewojewodę Wacława Redlińskiego: *„Zgodnie z paragrafem 2 uchwały 33 Rady Ministrów z dnia 6 lutego 1980 roku kolejność nabywców na nowy sprzęt ustala naczelnik gminy po zasięgnięciu opinii samorządu rolniczego".*

„KONTAKTY": — A więc rzeczywiście komisja jest parawanem arbitralnych poczynań naczelnika.

JÓZEF SŁOWIKOWSKI, członek komisji: — W trzecim kwartale naczelnik posłużył się przed komisją prezentowanym tu pismem wicewojewody i praktycznie nie mieliśmy nic do powiedzenia. W przyszłości chyba w ogóle nie pójdziemy na rozdział, bo po co? Dodam tylko, że w pierwszym i drugim kwartale — gdy faktycznie zajmowaliśmy się tym problemem — skarg było znacznie mniej, niż obecnie.

Z SALI: — I po gminnej demokracji. Znowu chłop siedzi w kieszeni naczelnika.

„KONTAKTY": — Chcielibyśmy usłyszeć argumenty, które w konkret-

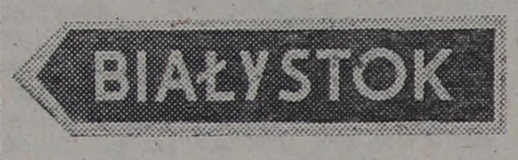

nym przypadku pozwoliły zignorować decyzje samorządu.

ZYGMUNT JUREWICZ: — Ja bym tego nie nazwał ignorowaniem. Przykładowo, przesunąłem rolnikowi przydział ciągnika z drugiego kwartału na trzeci, gdyż nie posiadał jeszcze prawa jazdy

Z SALI: Śmiech.

ANDRZEJ BUDNY: — Chcielibyśmy usłyszeć wyjaśnienia zarzutów zawartych w liście radnego Miejsko-Gminnej Rady Narodowej, zamieszczonego w „Kontaktach". Dla przypomnienia: Radny informował o obdzieleniu przez naczelnika w maszyny i traktory wybranej rodziny w Białosukni, która już je posiadała.

ZYGMUNT JUREWICZ: — Radny nie był najlepiej doinformowany. Owszem, Jan Hryniewicki — bo o niego tu chodzi — otrzymał w 1979 roku traktor C-360, ale wówczas mógł go kupić każdy, kto chciał. Następny ciągnik odkupił od sąsiada, Henryka Moniuszki. Aktualnie nabył trzeci wraz z kombajnem ziemniaczanym. Skąd? Nie z przydziału gminy. Takie hocki dzieją się, nie od dzisiaj, za pośrednictwem „Agromy".

„KONTAKTY": — Teść Hryniewickiego też ma trzy ciągniki. Ostatni przydzielił mu właśnie pan.

ZYGMUNT JUREWICZ: — Leonard Kulikowski tylu traktorów, o ile wiem, nie posiada. Ma C-328 z 1962 roku, i C-355, który nabył prywatnie. Są zarejestrowane, więc można to sprawdzić.

Z SALI: — Dla swoich wszystko!

ZYGMUNT JUREWICZ: — Sprawa Kulikowskiego rzeczywiście jest dyskusyjną i będzie rozpatrywana na następnym posiedzeniu komisji. Jeśli jej członkowie dojdą do wniosku, że przydział należy cofnąć, cofniemy. Powiem jednak od razu, że nie bez znaczenia jest fakt, iż w ubiegłym roku sprzedał on państwu produktów za 900 tysięcy złotych, a jednym z głównych kryteriów, mówiono o tym w telewizji, jest wartość produkcji. Przepisy, było nie było, obowiązują.

Z SALI: — Myślenie nie?!

ZYGMUNT JUREWICZ: — Przepisy to święta sprawa: działam na tyle, na ile pozwalają. Nie płacą mi tu za myślenie.

MIECZYSŁAW GADOMSKI: — Panie naczelniku, może dziś wreszcie publicznie otrzymam odpowiedź, kto naprawi drogę zniszczoną przy zakładaniu wodociągu?

ZYGMUNT JUREWICZ: — Mówiłem już, że nie jest to moja działka. Wykonawcą nie jest przecież Urząd Miasta i Gminy w Goniądzu.

Z workiem na oczach

ADNRZEJ BUDNY: — Mamy w tej chwili wykopki. Ziemniaki obrodziły jak rzadko. Kto wreszcie odpowie, co z nimi robić?

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Fakt. Zakontraktowałem trzy i pół tysiąca ton, a że ich nie skupują, nie moja wina. Do dziś nie mam żadnych dyspozycji. To, co mogłem, zrobiłem; GS dostarczył worki. Co dalej, wolę nie myśleć.

Z SALI: — A kto ma to robić?

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Nie jesteśmy przedsiębiorstwem i dlatego musimy czekać na decyzje z góry.

„KONTAKTY": — Która góra ma je zrodzić?

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Nie wiem. Może będzie musiał się tym zająć Premier? Może minister, bo WZSR w Łomży nie przekazuje mi żadnych decyzji.

„KONTAKTY": — Rzeczywiście ma pan nie lada kłopot. Czyżby jednak spał pan przez cały rok? Rolnik zawarł umowę, z której chce się wywiązać i nic go więcej nie musi obchodzić.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Jestem tylko wykonawcą; wykonuję usługi. Sam nie szukam dyspozycji, bo mi je przysyłają. Jest plan, przepis. Proszę więc zwrócić się z tym pytaniem do władz naczelnych i z nimi na ten temat porozmawiać.

Z SALI: — Nie władze naczelne kontraktowały, lecz GS, i ona musi je przyjąć.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Ale ja tych ziemniaków nie przyjmę po to, żeby je zgnoić. Chłop może je trzymać w kopcu czy w piwnicy, to już jego sprawa.

ANTONI KOSSAKOWSKI: — Czy naprawdę nie można skupić ich i zakopcować?

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Pewnie, że można, ale — proszę pana — ja mam żonę i dzieci. W Trzciannem dwa lata temu zakopcowali, i ten, który podjął taką decyzję, do dziś nie może się rozliczyć. Rolnik zawsze może coś wykombinować, a u mnie niech tylko mróz chwyci, to leżę i kwiczę. Dopóki nie będziemy mieli samodzielności zawsze co roku wystąpi ten sam bałagan. Niestety, nie mogę szukać rynku zbytu na własną rękę, a zanim ktoś coś mądrego wyduma, zanim dotrze to do nas, przyjdą przymrozki i nastąpi zjawisko „klęski urodzaju".

TADEUSZ OLSZEWSKI: — Jak widzę, my tu sobie pogadamy i znowu nic z tego. Dalej będziemy nosić kartki zamiast papierosów i mięsa i wyciągać szyje „do góry".

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — W sprawie papierosów mogę powiedzieć tyle, że Goniądz od 1 września do dzisiaj (19 września — przyp. red.) nie otrzymał ani jednej paczki. I ode mnie nic tu nie zależy. Podobnie jest zresztą ze wszystkimi towarami. Do sklepów dostarczamy to, co nam przydzieli Wydział Handlu Urzędu Wojewódzkiego. Trudno dziś mówić więc o handlu — zastąpiła go dystrybucja.

„KONTAKTY": — Mimo to mamy wrażenie, że Goniądz leży na kole podbiegunowym. Każdy towar jest tu deficytowy, także warzywa i owoce, choć w pobliskich sadach gną się gałęzie.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — To prawda, że mamy jesień, owoców i warzyw pod dostatkiem, a w naszych sklepach jak na przednówku. Pretensje proszę jednak kierować nie

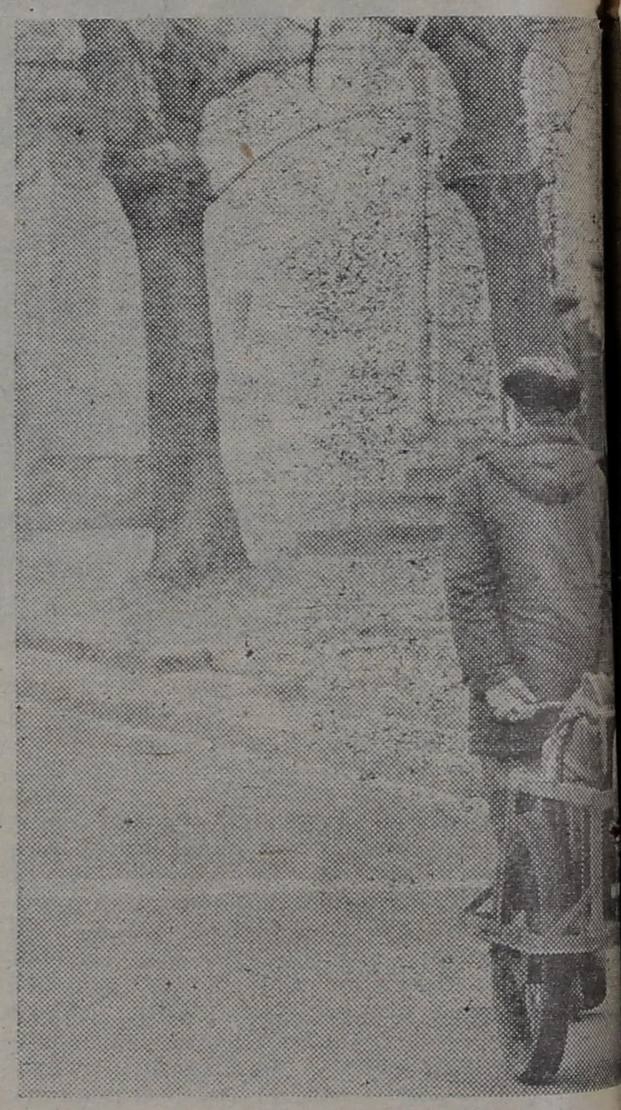

do nas. Zwracaliśmy się kiedyś o odstąpienie stoisk owocowo-warzywnych, których gestorem jest Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska, lecz nie wyraziła zgody. Jabłkami zatem zajmować się nie możemy, a ja naprawdę takiej struktury handlu nie ustalałem.

Z SALI: — Jeśli pan nic nie może, to po co jest prezes?

„KONTAKTY": — Nawet wówczas, gdy wszystkiego jest tak mało, można to podzielić sprawiedliwie. W pańskich sklepach deficyt na półkach równoważy dostatek pod ladą.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Istotnie. Jest to zjawisko negatywne i my go nie zwalczymy pomimo kar, uświadamiania, itd. Każda sklepowa ma swoją ciotkę, siostrę, brata, sąsiadkę czy przyjaciółkę. W tych trudnych czasach nie ma możliwości, żeby ktoś komuś czegoś nie załatwił. Oczywiście, staramy się wyeliminо-

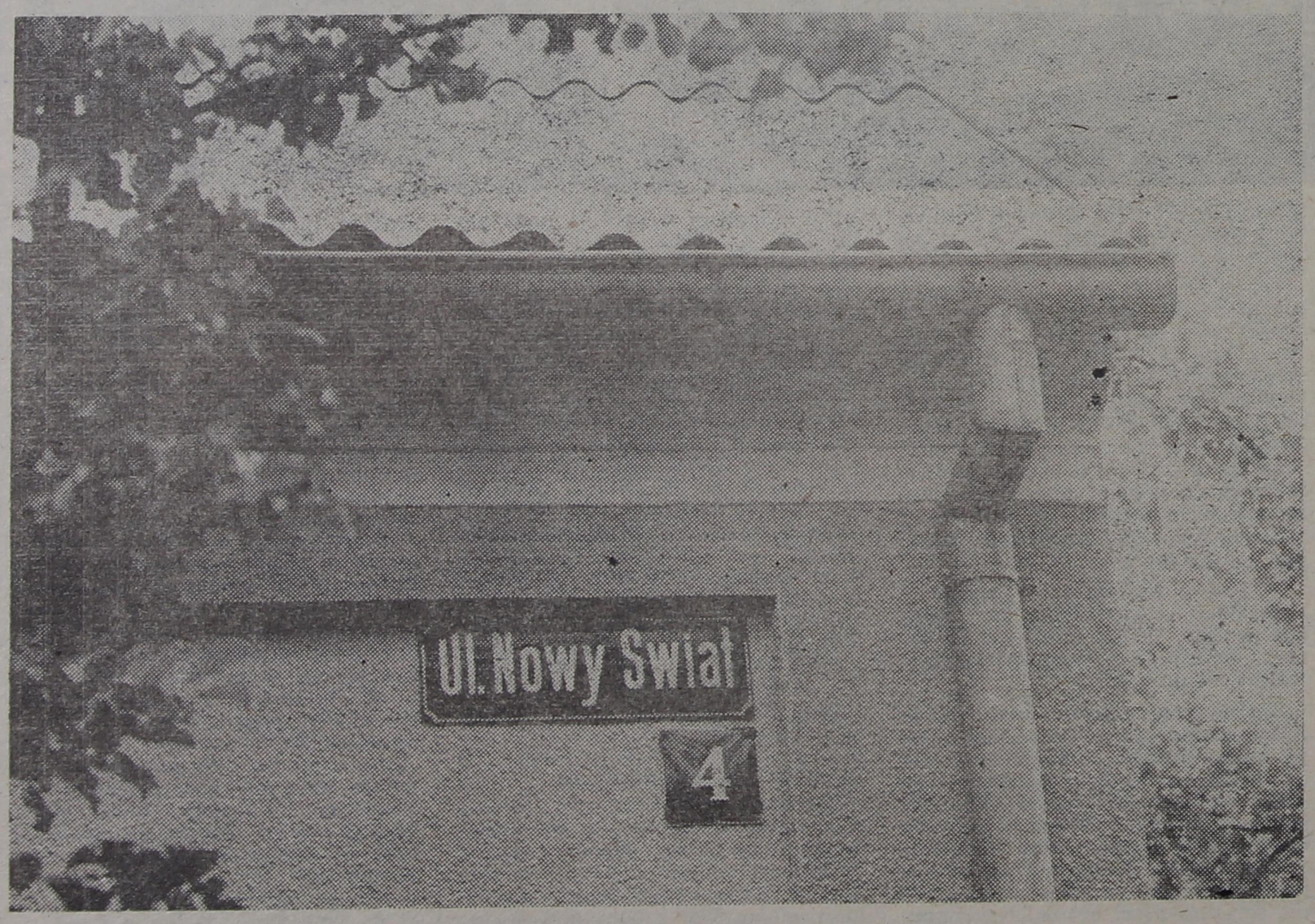

wać te zjawiska, powołujemy komisje kontrolne, lecz wszystko to nie zdaje egzaminu.

ADAM GRABOWSKI: — Interesuje mnie, czy zarząd GS-u podejmuje jakieś kroki, by zlikwidować nieszczęsne kolejki? W Warszawie i Poznaniu sprawy te udało się w znacznej mierze uporządkować.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Proszę państwa, handel warszawski ma dziesiątki sklepów, więc może sobie wprowadzać najlepsze rozwiązania. Ma do tego bazę.

„KONTAKTY": — Czyż trudniej jest wprowadzić przemyślany system w jednym sklepie mięsnym w Goniądzu niż w stu w Warszawie? Goniądzanie zaniepokojeni są bardzo kiepskim zaopatrzeniem w węgiel; zima tuż, tuż.

ZYGMUNT JUREWICZ: — Gmina Goniądz potrzebuje 11—12 tysięcy ton węgla. Otrzymamy niespełna 50 procent tej ilości.

Z SALI: — I co dalej?

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Przecież nie pojadę do kopalni fedrować. Zrozumcie, czym mamy was obdzielić w takiej sytuacji?

HENRYK GADOMSKI: — Ciekawe jednak, jak to się stało, że niektórzy mają zapasy na dwa lata, inni nie otrzymali dotąd ani grama.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Zaraz, zaraz! Nie ma w gminie człowieka, który wcale nie otrzymał węgla.

Z SALI: — Chyba kpiny!

HENRYK GADOMSKI: — Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, jakie są kryteria sprzedaży węgla?

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Nie ma żadnych kryteriów, bo sam

ich nie ustalę. Jest NSZZ „Solidarność", „Solidarność" Rolników Indywidualnych, Komisja GRN — postaramy się ten problem rozwiązać wspólnie. Wspólnie z nimi były też robione ostatnie podziały. Ustaliliśmy m.in., że węgiel z wagonów nie może być dostarczany wprost do odbiorcy, by było bardziej sprawiedliwie, choć podraża to koszty transportu.

Z SALI: — A jednak dla siebie grabnął pan jedną wywrotkę.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Przepraszam bardzo, ale to było jeszcze przed majem, a wtedy obowiązywały inne zasady.

„KONTAKTY": — Czyli: zaopatrujemy siebie i pracowników GS-u, a inni niech poczekają; później będziemy dzielić sprawiedliwie.

TERESA KOZŁOWSKA: — Pan prezes potrafi troszczyć się o swoje. Prosiłam o materiały na remont mieszkania. Nie otrzymałam ich. A pan prezes postawił sobie w tym czasie piękną willę z... przecenionych materiałów. Prawdę mówię. Są na to dokumenty.

ZDZISŁAW STUDNIAREK: — Każdy, kto się we właściwym czasie ubiegał, mógł je otrzymać. Nie tylko ja.

Cud nad Biebrzą

„KONTAKTY": — Ziemniaczana klęska braku wyobraźni dotknęła nie tylko goniądzką GS. W ziemi jeszcze kilka tysięcy ton ziemniaków, a eskaerowskie kopaczki, część po części, dematerializują się na placu.

JAN WOJTKIELEWICZ: — No, niezupełnie. Brakuje części zamiennych, więc powoli demontujemy kilka sztuk, aby usprawnić te w najlepszym stanie. Był u nas przedstawiciel WZKiOR i zachwycał się, że znaleźliśmy sposób i mamy tyle maszyn sprawnych.

„KONTAKTY": — Pan dyrektor żartuje.

JAN WOJTKIELEWICZ: — Każdy z pracowników może to potwierdzić.

Z SALI: — Brawo panie dyrektorze. To naprawdę cud. Z szesnastu kopaczek potrafiliście złożyć dziewięć. Za rok, z dziewięciu naprawicie cztery.

JAN WOJTKIELEWICZ: — A pewnie, że cud. Wojewódzka Baza Zaopatrzenia istnieje tylko na szyldzie, a każde urządzenie ma to do siebie, że psuje się po pewnym czasie. Skąd więc brać części zamienne?

RYSZARD BUJNOWSKI: — Rząd prosi, by chłopi oddawali zboże. A czym mamy je młócić? Za cepy nie chwycę, choćbym chciał. Mam 72 lata. Druga sprawa: dwa tygodnie chodziłem do SKR-u, zanim zaorali mi pod żyto. Jeżeli sprzętu jest tak mało, to dlaczego traktory pracują w transporcie? Przecież to nasza rolnicza maszyna.

JAN WOJTKIELEWICZ: — W okresie nasilenia prac polowych, od kwietnia do listopada, nie świadczymy żadnych usług transportowych (tumult na sali). No, wozimy mleko, do czerwca również dzieci. Kierujemy też do transportu ciągniki, które nie mają pełnej obsady sprzętu rolniczego. Nie możemy sobie pozwolić, by stały bezczynnie w bazie. SKR musi się przecież z czegoś utrzymywać.

RYSZARD BUJNOWSKI: — Przez rok kilka traktorów woziło len. Proszę powiedzieć wobec tego, ile zarobiły? I jakie maszyny zostały za to kupione. Jeżeli mają pracować tylko na pensje dyrektorów, księgowych, to niech lepiej stoją.

JAN WOJTKIELEWICZ: — Zatrudnienie personelu administracyjnego w SKR jest zgodne z obowiązującymi przepisami.

„KONTAKTY": — Czy również zatrudniałby pan tyle osób za biurkami, gdyby firma, którą pan kieruje, należała do pana?

JAN WOJTKIELEWICZ: — Zmniejszyłbym przynajmniej o połowę. Pod warunkiem jednak, że inaczej wyglądałaby cała biurokratyczna struktura. Jeśli utrzyma się dotychczasowa — nic mi po reformie, samodzielności. Niedawno zostałem ukarany przez kolegium za to, że w

ŁOMŻA

terminie nie zdałem sprawozdań dla GUS-u. Jeżeli więc pozostanie dotychczasowa sprawozdawczość, muszę trzymać człowieka, który będzie ją robił. Albo płacić kolegia.

ALFONS SOBOLEWSKI, księgowy SKR-u: — Mamy reformę i w dalszym ciągu musimy składać 53 różne sprawozdania! Niech „Kontakty" powiedzą pełnym głosem, że w rolnictwie nadal nic się nie zmienia.

ZDZISŁAW CHOJNOWSKI: — To jednak, że w prasie do słomy rośnie sobie zboże, a maszyny rdzewieją niezabezpieczone i nikt nie patrzy, jak dbają o sprzęt traktorzyści, nie zależy chyba od żadnego „zielonego światła"

ALICJA LASKOWSKA: — Niepotrzebne przejazdy i marnotrawstwo też raczej nie. Niedawno SKR kosił kukurydzę w Łazach. Zamiast obsłużyć wszystkich w tej wsi, przerzucono maszynę do Dołów — sześć kilometrów w jedną stronę. Ile to kosztuje?

TADEUSZ PEŁSZYŃSKI: — Chciałbym się dowiedzieć, kto rządzi SKR-em? Dwóch dyrektorów przy pomocy pięciu księgowych, czy traktorzyści? Na wiosnę miałem taką sprawę: chcę opryskać zboże. Chodzę do bazy tydzień, półtora: z zastępcą dyrektora nie można się dogadać, kierownik usług wysyła mnie do traktorzysty: „Idź, gadaj z kierowcą". Traktorzystom nie wpisuje się w kartę pracy konkretnych dyspozycji — gdzie ma jechać, do kogo — stąd praktyki, że pierwszy ten, kto da więcej. I jeszcze pytanie: w maju w Woli nie opryskiwano wszystkich pól, bo dyrektor podjechał swoim samochodem, zapakował środki do bagażnika i wywiózł je: co zrobiłeś z tymi środkami, gdzie je upłynniłeś i za ile?

JAN WOJTKIELEWICZ: — W tym roku otrzymaliśmy zaledwie 10 procent zamówionych oprysków. W Wólce prace trwały już dwa dni. Więc kiedy zgłosił się jeden z rolników, a potem dwóch następnych z innych wsi, przyjechaliśmy i zabraliśmy nadwyżki.

TADEUSZ PEŁSZYŃSKI: — Nadwyżki? Mogę wymienić nazwiska rolników, dla których tych środków nie starczyło.

JAN WOJTKIELEWICZ: — Nieprawda!

RYSZARD BUJNOWSKI: — Mam prośbę do dyrekcji SKR-u. Niech nikt z Goniądza, z dyrekcji nie wtrąca się i nie podpowiada naszemu dyspozytorowi w Klewiance, co ma robić. Poprzedni, usłużny, wysyłał sprzęt dla rodzin i znajomych dyrektórów. Teraz jest tak, jak powinno być. Więc niech dyspozytor rządzi sam.

JAN WOJTKIELEWICZ: — Nigdy nie zmieniałem decyzji dyspozytora. Zresztą na tablicy w bazach jest wywieszka, że nikt nie ma prawa tego robić. Nawet dyrektor.

ALFONS SOBOLEWSKI: — Całe zło, to mała ilość sprzętu. A to już wina wojewody, że tak rozdziela. Jeśli w przyszłym roku nie zwiększy przydziałów, czeka nas smutny koniec polskiego rolnictwa.

JAN WOJTKIELEWICZ: — Dobrze jest krytykować, ale czy wiecie, że wciska nam się na siłę maszyny, których wcale najbardziej nie potrzebujemy. Musimy brać, co jest. Ot, chociażby przyczepy samozbierające w cenie 120 tysięcy złotych. Amortyzacja pochłania dochód i jeszcze trzeba dokładać. Absolutnie nieopłacalne są dla nas również maszyny radzieckie. Krajowa taśma do rozrzutnika lub sieczkarni kosztuje 3,5 tysiąca złotych. Radziecka — 17 tysięcy. I jeszcze częściej się psuje. Przy takich cenach można pójść z torbami.

„KONTAKTY": — W jaki sposób, na własną rękę, próbował pan poprawić ogólną sytuację swego przedsiębiorstwa?

JAN WOJTKIELEWICZ: — O, gdybym mógł... Niestety. Krępują mnie przepisy.

FOT. GABOR LÖRINCZY

spięcia

Bezpłatny kurs powściągliwości językowej wprowadził zakład melioracyjny w Łomży. Pierwszy chętny, który zgłosił w czerwcu uszkodzenie przez meliorantów wodociągu przy ulicy 1 Maja w Łomży, gdzie fachowcy zostawili także niezabezpieczony wykop, kształcony jest metodą ciągłych obietnic naprawy szkód za cenę symboliczną — milczenia o sprawie. Przed Dniem Nauczyciela radzibyśmy poznać tak wspaniałych pedagogów!

*

Pani naczelnik gminy Śniadowo nie rozpieszcza swych współobywateli: przyjmuje interesantów jedynie trzy godziny tygodniowo, w czwartek między 9 a 12. Tak przynajmniej głosi wywieszka, bo i w tych tych godzinach trzeba ją łapać niczym meteora. W Urzędzie książki wyjść nie prowadzą, za to ludzie na ulicy wiedzą: — Stoi w kolejce. Proponujemy, żeby rada narodowa sprecyzowała godziny pracy szefowej gminy i domowej kuchni.

*

Późnym popołudniem 25 września przed CPN w Łomży zajechała karetka reanimacyjna na sygnale. Wbrew przypuszczeniom nikt na stacji nie zamierzał wyzionąć ducha, toteż karetka, po zatankowaniu benzyny oddaliła się z przejmującym wyciem.

Kierowco erki LOA 070C! Wierzymy, że ma pan pierwszeństwo w zakupie benzyny zawsze, nawet bez sygnału. Jeżeli jednak w danym czasie był pan rzeczywiście wezwany do nagłego wypadku, to „Spięcia" nie znajdują żadnego humorystycznego czy złośliwego komentarza! Bowiem, gdy do ostatniej chwili czeka się na wezwanie zawałowca z pustym bakiem, to nic dziwnego, że trzeba później wyć na całą okolicę.

*

Komitet blokowy łomżyńskiego osiedla „Jantar" walczy o zrobienie trawnika przed domem nr 13 przy ulicy Prusa, którego to gigantycznego przedsięwzięcia jego mieszkańcy nie są w stanie wykonać sami. Komitet opracował więc analizę stanu faktycznego miejsca przyszłego trawnika (2 m x 8 m), zamówił fotografa, by wykonał dokumentalne zdjęcia owego skrawka ziemi, sformułował też na maszynie do pisania rozpaczliwą epistołę do Łomżyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, by trawnik wykonała. Zakupiono nawet znaczek i kopertę, a zaadresowaną korespondencję wraz ze zdjęciem przydźwigano na pocztę. Bylibyśmy teraz za organizacją sesji naukowej, by problem trawnika rozwiązać teoretycznie. Deklarujemy się z tematem: „Komitet blokowy a przysychanie rąk do tyłka".

*

W warsztatach łomżyńskiej szkoły drzewnej przy ulicy Sikorskiego panuje niesłychana stabilność poglądów politycznych. Do połowy września eksponowano hasło popierające uchwały VI Zjazdu PZPR. W dwa miesiące po IX Zjeździe zostało ono niespodziewanie usunięte. Z niepokojem czekamy na ciąg dalszy. Sympatycy warsztatów twierdzą, że hasło — po drobnym retuszu i odświeżeniu — wróci wkrótce na swoje miejsce. Złośliwi zaś szepczą, że do głosu doszli tam pragmatycy, którzy chcą wysunąć awansem hasło poparcia dla X Zjazdu, co ułatwi późniejsze przeróbki na XI do XX, a nawet dalej. Trudno nie przyznać, że byłoby to ekonomicznie uzasadnione.

*

Zdrożały o 60 procent usługi łomżyńskiego „Polmozbytu". Cichej podwyżce cen towarzyszy nasze ciche westchnienie: zmieńcie chociaż nazwę na „Junta Pol-Mota" lub „Polmozbytek".

PODGLĄDANIE ABSOLUTU

wykopki

Czas pracy na wsi był kiedyś czasem na swój sposób sakralnym. Czasem, w którym można było tylko pracować i w którym nic innego czynić nie wolno. Takim dla przykładu był czas żniw. W młodości, gdy opuściłem wieś, a gdy czas żniw nadchodził, przez parę lat nie śmiałem wylegiwać się na słońcu, plażować, jeździć na wycieczki. Zadręczało mnie dokuczliwe poczucie grzechu czy czegoś podobnego. Potem uczucie owo znikło i wszystko było w porządku. Próżnowanie stało się normą w świecie ludzi próżnujących.

Kryzys przywraca ten atawistyczny, wiejski odbiór świata. Stało się nagle wiadome i oczywiste, że nie będzie nic, jeśli się nic nie wyprodukuje; że „bez pracy nie ma kołaczy"; że pierwszą podstawową troską człowieka jest, by się najeść; że zatem rzecz najważniejsza, by w porę zasiać i dobrze plon zebrać, słowem troska o chleb codzienny, którego brak staje się tak dokuczliwy.

Powiedzmy, iż goniony takimi oto myślami i uczuciami pojechałem na wykopki. Jest w tym oczywiście trochę przesady, bo motywacje — jak to zazwyczaj w życiu bywa — były różne; fakt jednak, że w tym roku pojechałem na wykopki, czego nie czyniłem od wielu, wielu lat. Pomijając wszystko inne wydało mi się, iż grzechem jest siedzieć, zapatrzywszy się w sufit i filozofować, gdy trzeba kopać.

Ziemniaki, jak wiadomo, w tym roku obrodziły. W ogóle — obrodziło wszystko. Gdy więc stanęły rzędy dorodnych worków z ziemniakami duszę nawiedziła chłopska radość, a umysł chłopska medytacja: tyle tego jest, że starczy wszystkim; i na wsi i w mieście — nikomu nie zabraknie jedzenia. Człowiekowi w końcu tak niewiele potrzeba: worek, no może dwa worki ziemniaków na zimę, litr oleju, może trochę smalcu — i się przeżyje. Tak przynajmniej bywało w moim dzieciństwie.

Wiem wszakże, iż ta chłopska radość jest złudna, a sądzenie — błędne. Wiem, że może zabraknąć wszystkiego; węgla, wody, chleba, mogą stanąć tramwaje i autobusy. A już na pewno zabraknie ziemniaków. W barach w dalszym ciągu podają przecież zamiast ziemniaków kaszę z dotychczasowych, wieloletnich zapasów. Czy nie można temu jakoś zaradzić, rozdać ziemniaki, rozsprzedać potrzebującym, nakarmić lud?

Otóż nie. Nie wiem, co stanie na przeszkodzie nakarmieniu narodu kartoflami, ale z pewnością coś stanie. Może brak magazynów, niedostatki w transporcie, a może źle pomyślane „bodźce", skłaniające chłopów do sprzedaży płodów. Może zabraknie wag do ważenia ziemniaków, albo tylko odważników, może kwitów, może nawali jakaś uszczelka, zabraknie w czymś oleju, czy oliwy... Bóg wie, co może się zdarzyć — a ziemniaków w sklepach i barach nie będzie.

Kłaniają się tu wielkie prawdy filozoficzne, a zwłaszcza prawda strukturalistyczna: struktura jest pierwotna wobec elementu, struktura określa istotę elementu, a nie odwrotnie. Chora jest struktura, całe nasze życie ekonomiczne, społeczne i moralne, i najlepszy nawet, najzdrowszy element w tej strukturze będzie funkcjonował chorobliwie. Nic się nie da zrobić w sposób jednostkowy, bez totalnego potraktowania sprawy.

Nie lubię strukturalizmu i od lat w szeregu swych publikacji głoszę tezy przeciwstawne tezom strukturalnym. Dla przykładu: każde społeczeństwo ma taką władzę, na jaką zasłużyło (to Gandhi). Struktury kształtują ludzi, ale ludzie powołują struktury i je zmieniają. Żaden zły system nie może funkcjonować w społeczeństwie ludzi dobrych. Wszelkie rewolucje rozpoczynają się od rewolucji w umysłach ludzkich.

To wszystko prawda. Są jednak sytuacje, gdzie prawo struktur działa bezwzględnie. Jedyne, co wówczas mądrym, pełnym dobrej woli jednostkom ludzkim zostaje — to zrozumieć mechanizm funkcjonowania struktur i postarać się je zmienić.

Ale to zbyt wysoka abstrakcja. Wróćmy więc do worków z ziemniakami. Worki są zdrowe, ziemniaki bardzo zdrowe, ale funkcjonują w chorej strukturze chorej gospodarki, chorego społeczeństwa; struktura, w której dobra organizacja odgrywa rolę centralną. I dlatego jest tak źle. Nie ma nic smutniejszego niż ogromne supersamy nastawione na dobrobyt, a ziejące pustkami. W strukturze zacofanej, archaicznej nie byłoby problemu — chłopi dowieźliby ziemniaki mieszczanom wozami, tamci kupiliby i zajadaliby całą zimę...

Specjalizacja funkcji, wysoki stopień i złożoność organizacji — wszystko to zapewnia wysoką efektywność systemu w dobie prosperity. Ale wszystko to może stać się jego przekleństwem w momencie katastrofy. Nadmierna efektywność poszczególnych elementów w chorym systemie nie musi mu pomagać; wręcz przeciwnie — może wydatnie zaszkodzić. Jedną z przyczyn zawalenia się naszej gospodarki był przecież nadmierny rozrost inwestycji. To tak, jakby do struchlałego organizmu wmontować byczе serce.

Rodzi się dziś — w okropnych bólach co prawda, ale jednak się rodzi — nowy system, nowa struktura życia gospodarczego i społecznego. Będzie ona — miejmy nadzieję — bardziej racjonalna ekonomicznie, społecznie, sprawna i sprawiedliwa.

Efekty tego nowego systemu to jednak daleka przyszłość, a zanim on się ukształtuje musimy wrócić do zasad prostych, wręcz prymitywnych, mniej efektownych i mniej efektywnych, ale za to w momencie kryzysu bardziej skutecznych; coś zasiać, zasadzić, coś zebrać...

I dlatego namawiam swoich kolegów po fachu (a mam parę fachów), by wyruszyli na wykopki. I dlatego uważam, iż miał rację pan, którego pokazała telewizja w dzienniku, a który postanowił wybudować u siebie w zagrodzie elektrownię wodną, by powiększyć w ten sposób energetyczne moce kraju.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK
Rys. Andrzej Podulka

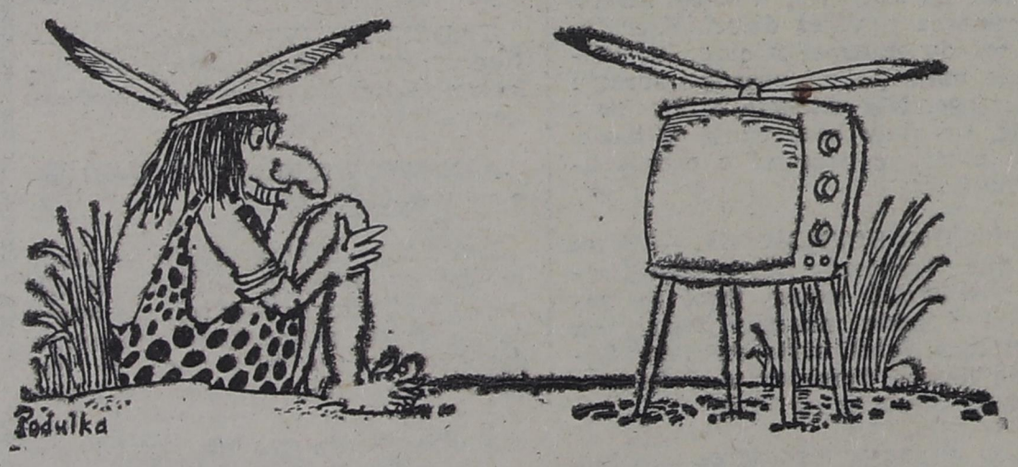

Poślizgi

w imieniny Albina

Zerwij kartkę z kalendarza. Wisi na gwoździku w kuchni, wydany, jak co roku, przez „Książkę i Wiedzę", nic więc w nim anarchizującego, wszystko konstruktywne: w zgodzie następstwa imion świętych, rocznica szturmu na Pałac Zimowy... karteczki odmierzają czas cierpliwie: *„dziś 258 dzień, wsch. sł. 5.10, zach. sł. 17.52, wsch. ks. 18.53, zach. ks. 6.23"*. „Nad brzegiem" L. Staff; ten wiersz zamykają dwa wersy: *„W niemym mroku siedziałem tam długo. I rzucałem kamienie do wody"*; po drugiej stronie „Ziemniaki pieczone z mojonezem" i finał: *„Upieczone ziemniaki wsypać do salaterki, wyłożonej czystą ściereczką, oddzielnie podać sos i surówkę (sałatę, świeżą paprykę lub kiszone ogórki)"*. A imieniny: Albina oraz Nikodema. Imię Albina błyszczy z łacińska bielą nieskazitelną, pogodą, przyjaźnią; czy jednak na miejscu jest przy nim sięgać do słownika? Może lepiej byłoby zapytać kogoś z tytułem doc. spod znaku miesiąca marca?

I w taki to dzień naszło cię dumanie nad ową, świeżą jeszcze co prawda, oracją o „nacjach narodowościowych", V kolumnie przed wojną, w której Biały Retor widzi razem Rusinów, Żydów, Litwinów, Niemców, i o tym, żeśmy wreszcie czyści narodowo? Wiesz, może patron wywołał skojarzenie, swoje zrobiło też sięgnięcie po dwa teksty — jeden jest w „Polityce", a drugi w „Solidarności" — podane do druku przez ludzi, których oracja owa mocno poruszyła. Trudno się dziwić, że poruszyła, bo przecież nie sposób przejść bez smutnej refleksji obok takich prymitywnych schematów „historiozoficznych", propagowanych przez działacza mającego ambicje formowania linii partii: *„Przed 1939 rokiem w Polsce były różne nacje narodowe. Mam na myśli Litwinów, Żydów, Ukraińców, a szczególnie Niemców. Było z czego budować tzw. piątą kolumnę. I faktycznie zbudowano ją. Padały wówczas strzały w plecy, działał wywiad i demontaż armii polskiej. Cele były te same. Zdobyć przedpole do Związku Radzieckiego"*. Dziś *„nie ma różnych nacji narodowościowych, nie ma kogo podburzać przeciw komu. Polacy po raz pierwszy w swojej ponad 1000-letniej historii stali się jednonarodowi"*.

Polemikę merytoryczną z tymi poglądami przeprowadził już w „Polityce" z 5 września Jerzy Tomaszewski, koncentrując się na sprawach międzywojnia, by stwierdzić: *„Struktura klasowa mniejszości narodowych była równie złożona, jak struktura klasowa narodu polskiego, a w ślad za tym szło zróżnicowanie światopoglądów, postaw politycznych oraz działań. Przykro mi, że o tej elementarnej prawdzie muszę przypominać na marginesie polemiki z działaczem partii, nawiązującej do tradycji polskiego ruchu komunistycznego"*. Wydaje się, jednak, że samo przypomnienie prawdy elementarnej to trochę za mało, bowiem budzi się jeszcze pytanie: w jakiej mierze historiozofia „nacji narodowych" ma charakter postendecki? Bezstronnej analizy wymagałaby też kwestia funkcjonowania w naszej współczesności całej orientacji narodowo-radykalnej, przede wszystkim wśród członków Zjednoczonej. Istnienie jej ukazał przecież rok 68, a ostatnio pewne aspekty działań „Grunwaldu". Spadek po endecji nie przepadł w niebycie... Przypomina się tu pewien fragment „Traktatu poetyckiego" Miłosza — partia mogła skutecznie pokierować wejściem III Rzeczypospolitej na Ziemie Odzyskane także dzięki przejęciu niektórych istotnych komponentów spadku po ONRze. Temat ten trzeba wreszcie odważnie rozpoznać, dziś także po to, by dostrzec, co jeszcze przeszło „z dobrodziejstwem inwentarza" jako balast dla partii, której tożsamość określa zjednoczenie socjalistów i komunistów.

STANISŁAW KOTWICA

NA PIĘCIOLINII

a jednak się kręci

Słusznie obawiałem się w jednym z poprzednich felietonów, że psycho za oszczędności może przynieść sporo krzywd, jeśli sztukę zaeznie przeliczać się na złotówki. Ale, na szczęście, w pomieszczeniach najwyższych czynników zwyciężył rozsądek i w Warszawie jednak odbędzie się kolejny festiwal „Jazz Jamboree". To, że w Sopocie zlikwidowano przegląd śpiewających właścicieli wytwórni płytowych, ich sezonowych panienek i studyjnych sprzątaczek, spędzających w ten sposób urlopy, nie może oznaczać jeszcze, iż pod nóż mają iść wydarzenia autentyczne, znaczone wysoką rangą artystyczną, a przede wszystkim mocno zakodowane w świadomości odbiorców jazzu.

Likwidacja „Jazz Jamboree" miałaby bowiem dla naszej kultury symboliczne znaczenie, wszak w tym roku mija 25 lat od pierwszego festiwalu jazzowego w Sopocie, a więc pierwszego oficjalnego uznania muzyki zgniłego kapitalizmu czy imperializmu. Do 1956 roku ten gatunek muzyki nie miał prawa bytu, podobnie jak coca-cola czy inna guma do żucia. Ale oczywiście grano jazz w piwnicach, prywatnych mieszkaniach, najbardziej zamkniętych pomieszczeniach. Rok 1957 przyniósł drugi festiwal w Sopocie, aż wreszcie zabrała go do siebie stolica. I tak już pozostało.

Może w świetle dzisiejszych wydarzeń politycznych zawieszenie tej jednej z największych tego typu imprez w Europie nie ma większego znaczenia, ale to są pozory. Zbyt bowiem wiele osób mogłoby ów fakt odczytać jako powrót do dawnych czasów, przejaw aktywności pewnej grupy, której nie w smak to, co się dzieje w Polsce, czy działo się — jeśli chodzi o względną swobodę wypowiedzi artystycznej — do tej pory. Zresztą nie będę ukrywał, iż już same zamiary pozbawienia, nie tylko polskiej, publiczności widoku największych gwiazd światowego jazzu budzi mój głęboki niepokój, ale na wnioski jeszcze za wcześnie.

Nie przeceniałbym tak roli „JJ", gdyby nie fakt, że dzięki niemu — często również za pośrednictwem telewizji — mieliśmy okazję wysłuchać takich legendarnych filarów jazzu jak Ella Fitzgerald, Oscar Peterson, Sarah Vaughn, Betty Carter, Woody Herman, Dexter Gordon, Archie Shep, Sonny Rollins i wielu innych, na wymienienie których brakuje tu miejsca. Nie wiem, czy jest jakiś inny kraj w Europie Wschodniej, który gościłby tyle znakomitości. Najlepszym zresztą dowodem — jaką rangę ma ten festiwal na świecie — niech będzie fakt, iż wielu amerykańskich zwłaszcza wykonawców zgadza się grać u nas za złotówki, bądź minimalne stawki, pozwalające w zasadzie jedynie na przeżycie kilku festiwalowych dni. Po prostu dla tych ludzi liczy się atmosfera spotkania, a nie konkretny zarobek.

Wbrew więc złym zamiarom — i jakby na przekór przeciwnościom losu — w tym roku w Warszawie znowu gościć będziemy gwiazdy, o jakich nam by się nie śniło, gdyby nie „Jazz Jamboree". Z pewnością największą atrakcją będzie występ zespołu Billy Cobhama, znanego z „Mahavishnu Orchestra" i kilku solowych płyt. Awangardę reprezentować będzie jeden z gigantów orkiestrowych big-band Carli Blay. Z Wielkiej Brytanii przyjedzie m.in. saksofonista John Surman, zaś z Finlandii Edward Vesala. Jako ozdoba tzw. „Dnia Skandynawskiego" wystąpi rewelacyjny kontrabasista Nils Oersted Pedersen (nagrał ostatnio płytę z Oscarem Petersonem). To tylko niektórzy wykonawcy, jeśli zaś chodzi o przedstawicieli Polski, to wystąpi cała nasza czołówka. I pomyśleć, że na tym chciano oszczędzać.

JAN JANUSZEK

reflektor

postawy

szkoła oszustów
kurs średni

W restauracji „Polonez" wszystkie stoliki były już zajęte. W kącie dwaj panowie, około czterdziestki, stuknęli się kolejnymi setkami i kontynuowali swój „dagawor". Usiadłem na jedynym wolnym krześle prawie tuż obok nich. Nawet nie zwrócili uwagi.

Przyniszczone garnitury i wyświechtane, błyszczące krawaty nie stawiały ich w rzędzie krzykaczy prowincjonalnej mody. Suto zastawiony stół zdradzał „żołądkowe przyjaźnie". Człowiek o okrągłej twarzy i zwisającym podbródku koncentrował się na zawartości stojących przy nim naczyń; wiosłował łyżką. Drugi powoli przełykał kęsy rozłożystego schabu i coraz bardziej rozkręcał się w rozmowie:

— Grunt to wejść w układy. Początkowo przynoszą same straty, bo wszędzie obowiązuje wkupowe, ale później można trochę pożyć. Zwracają się koszty, znajdują się przyjaciele. Czujesz się jak w rodzinie. Rewidenci nazywają nas klanem kryminogennych. Zresztą, nie tylko oni. Kilku jest takich upartych i głupich. Gdyby do nas przystali, dorobiliby się czegoś, tak jak my. Ale oni chcą być aniołkami. Szukają sprawiedliwości i tylko przeszkadzają człowiekowi w porządnej robocie.

Gdy zaczynałem pracę, mój szef odpowiedzialny za kontraktację ziemniaków w zakładzie, powiedział do inspektorów: „Panowie, musimy dobrze wypaść w konfrontacji z innymi oddziałami. Nie nakazuję, ale polecam w naszym wspólnym interesie zawyżyć liczbę umów, a nawet powiększyć, gdy będzie potrzeba, dwa-trzy razy". Niektórzy zrobili wielkie oczy. Co on chce tu wyprawiać? A u nas, w powiecie łomżyńskim i pozostałych, wchodzących obecnie w skład województwa, różnie chłopi zapatrywali się na uprawę ziemniaka. Przeważnie sadzili go na własne potrzeby. Zaś w Poznańskiem, tam miały iść przygotowane przez nas dane, amatorów było wielu. Bez fałszowania liczb groziło nam ostatnie miejsce. Wszyscy inspektorzy z sercem podeszli do apelu szefa. Wielu jednak bało się, czy to kłamstwo nie ujrzy kiedyś światła dziennego. Po kilku dniach przyszło od szefa pismo, że kto zawyżył liczbę umów, odpowie dyscyplinarnie. Wiedzieliśmy, że chłop zabezpieczył się na wszystkie strony. Wiadomo przecież, że tam, gdzie jest niby dobra samodyscyplina, nawet pies z kulawą nogą nie zagląda.

Wydarzenie to było wielkim sprawdzianem tego, na ile my możemy zaufać swojemu szefowi, a szef — nam. Dalej sprawy szły coraz lżej. Stare porzekadło głosi: człowiek do końca uczy się rozumu i głupim umiera. Jest to chyba prawda. Początkowo trafiłem do ziemniaków jako podstawowa siła fizyczna — robotnik najemny z grabiami, łopatą i widłami. Uczciwie zarabiałem na każdą dniówkę. Deszcz nie deszcz, błoto nie błoto. Ale byłem szczęśliwy, że miałem gdzie zarobić trochę grosza. Po latach przekonałem się, w jakim jestem świecie i jakie rządzą nim prawa. Musisz to sobie uświadomić, jeśli chcesz utrzymać się na powierzchni i zawsze wyjść na swoje.

Podstawową regułą istnienia naszego „kryminogennego" klanu jest zasada: zarabiasz sam i dajesz zarobić swojemu szefowi. Kto próbuje na własną rękę, zaraz wykryją mu nędzne złotówki, które sobie przywłaszczył, posiedzi za nie, jakby co najmniej przygarnął miliony. Dostaje mu się i za zamiar, i za pogwałcenie prawa. Krótko mówiąc: obrywa za wszystko, nawet za to, że żyje, bo traci wszystkie uciechy tego świata.

Nie powiem, zakładowi też tacy ludzie są bardzo potrzebni. Gdyby przez kilka lat nie było żadnej afery, sprawa mogłaby się wydawać co najmniej podejrzaną, bo przecież wiadomo, że tam, gdzie chodzi o pieniądze, muszą być i przestępstwa. Więc takie przypadkowe płotki, że powiem: głodne myszy polne, świetnie chronią starych wyżeraczy. I na zewnątrz zakładu wszystko jest w porządku. Są sprawy sądowe, nagany, kary, ba — nawet dyscyplinarne zwolnienia, a w gruncie rzeczy wszystko się toczy po staremu. Szef ma swoich inspektorów kontraktacji, od których pobiera przeciętnie 10—15 tysięcy za jeden punkt skupu w ciągu sezonu. Za to ci mają wolną rękę w dorabianiu pokątnym na własne konto. Inspektorzy trzymają swoich kierowników, na których mogą liczyć w każdej chwili. Ci zaś — swoich zastępców, pomocników, nawet kierowców. Nikt do tej pracy nie dostaje się z przypadku. Trzeba mieć swego wprowadzającego. Poręczy, wytłumaczy, doradzi: komu ile czego na początek dać.

Swojego „promotora" poznałem na uroczystym zakończeniu akcji ziemniaczanej w Białowieży. Trafiliśmy we dwójkę do jednego pokoju. Któraś kobieta dała mu chyba kosza, bo przyszedł wieczorem i skłonny był do zwierzeń, a pracował na punktach skupu już ładnych kilka lat. Stary wyga. Kapnąłem się, że może to być dla mnie jedyna szansa wejścia do grona tych wpływowych osób. I nie pomyliłem się. Rano świtało mu coś w głowie. Niby nie pamiętał, co mi nagadał. Ale ja tych spraw już nie popuściłem. Przycisnąłem do kąta i powiedziałem mu: — Albo pomagasz mi się windować, albo sypię wszystko jak z nut. — Ja ci pomogę, ja ci pomogę — powiedział bez protestu. W następnym roku byłem już kierownikiem punktu skupu i płaciłem zwierzchnikowi obowiązujący haracz. W ciągu tego sezonu nie miałem żadnej kontroli.

Spokojnie więc rąbałem chłopom procent dwa razy większy niż im się należał, a oni i tak mnie jeszcze za to chwalili powiadając: — Pan kierownik jest uczciwym człowiekiem. Poprzednik nie popuścił żadnej okazji. Ale raz mu się odgryźliśmy. Popił solidnie i w takim stanie przyjmował. Kilku niepoczciwców zrujnowało mu cały zarobek. Tylko zjadą z wagi, ominą kopce, poczekają przy nich z pół godziny i znowu z tą samą furą na wagę. A ten się nie kapnął. Dorobił się minus sto tysięcy.

Ale u dobrego szefa nie zginie żaden pracownik. Miała być sprawa. Rewident napisał kilkadziesiąt stron oględzin, różnych dowodów. Poszło to do sądu. Milicja węszyła, prokuratura. Wreszcie umorzyli sprawę z braku dowodów. On już nie mógł pracować oficjalnie, więc pozwolili mu być kierownikiem fikcyjnym. Znalazł sobie człowieka, który podpisał umowę, a on kręcił cały interes. Właśnie to był ten sam ptaszek, którego przypadkiem spotkałem w Białowieży.

Szef dbał o rodzinne stosunki w załodze. Składał życzenia imieninowe pracownikom. Podczas takiej uroczystości starał się być dobry dla wszystkich. Choć do rany przyłóż. Każdy cieszył się z jego życzeń, odwiedzin. Słał zaraz po następną butelczynę i im[illegible] się od nowa. Trwała do [illegible] trzeciej a czasami do samego rana.

Najbardziej podobał mi się, gdy przyjmował jakiegoś rolnika, który chciał zdać przymrożone nieco ziemniaki. Była to sprawa na telefon, ale szef ściśle trzymał ją w swoich łapach. Działo się to z reguły podczas pierwszych przymrozków. Rolnik przywoził swoją plantację ciągnikiem, nieraz dwoma-trzema. Transport czekał, bo plantator musiał wszelkie sprawy załatwiać bezpośrednio z szefem, ale ten brał go na przetrzymanie. To niby gdzieś wyszedł, to miał bardzo pilną rozmowę przez telefon. Chłop w kożuchu czekał na korytarzu, wdepnął czasami do sekretariatu, wcisnął sekretarce czekoladę lub dobry koniaczek, bo przecież chciał, by ta sprawa była jak najszybciej załatwiona. Sekretarka pukała do gabinetu szefa, zamieniała kilka słów. Gdy wreszcie wchodził przed jego oblicze, był już zupełnie miękki i godził się na każde warunki. A co mu zaszkodziło dać dziesięć czy piętnaście tysięcy, gdy sam otrzymywał za ciut przymrożony surowiec sto, sto dwadzieścia?

Właśnie byłem kiedyś naocznym świadkiem takiego zajścia. Chłopisko z początku dąsało się, przeklinało wszystkich, a potem coraz bardziej kładło uszy po sobie, dochodziło do wniosku, że jeśli z szefem się nie dogada, to i tak nigdzie sprawy nie wygra. Zapamiętaj to sobie, jak zmiękczać ludzi. Przyda to się na każdym stanowisku, a w ziemniakach w szczególności.

Zawsze podziwiałem szefa. W latach sześćdziesiątych na kierownika oddziału musiał się zgodzić także Komitet Powiatowy PZPR. Przeważnie proponowali swoich ludzi, choć ci absolutnie nie orientowali się w dochodach. Przyjmował takiego człowieka, ale na zastępcę pchał swojego. Tamten tyrał jak głupi, a zastępca współpracował z szefem i nadwyżki zgarniał do swojej kieszeni. Nawet miał jeszcze lepiej, bo jeśli wpadł, to za wszystko przecież odpowiadał kierownik. Dopiero towarzysze z Komitetu Powiatowego w głowę zachodzili: jak mogło dojść do takich rzeczy. Przecież to był taki uczciwy człowiek.

Szef zawsze miał głowę na karku i widać było, że wie, o co chodzi. A niech tylko któryś z kierowników oddziałów czy punktów skupu spróbował zaniżyć koszty kupna słomy czy najęcia robocizny. Zaraz go wzywał do siebie. Opieprzyli go też za to inni. Przecież to psuło statystykę, zawsze zawyżoną. Zgranie było idealne. Wszyscy musieli się do tego stosować, a komu to nie odpowiadało, wylatywał przy najbliższej okazji.

Czasami groziła wsypa. Węszył ktoś z „Polityki", deptała po piętach „Współczesna". O patrz — te wycinki chowam na pamiątkę — 29 maja ubiegłego roku pisali między innymi: *„W Łomży prowadzone jest śledztwo w sprawie bardzo poważnych nadużyć dokonanych w punktach skupu ziemniaków na terenie województwa łomżyńskiego. Kierownicy w kilku punktach skupu w porozumieniu z wagowymi Zakładów Ziemniaczanych, fałszując dokumentację, wystawili dowody na rzekome dostarczenie ziemniaków w ilości około 400 ton w latach 1976—79. Organa ścigania wykryły sprawców dobrze zorganizowanego przestępczego procederu [...]."* Zaś dwa lata wcześniej, 19 czerwca 1978 roku, także wydrukowali „Ziemniaczany biznes": *„Okazuje się, że wystarczy trochę sprytu, by dorobić się na rolniczych płodach, nawet ich nie uprawiając. Świadczy o tym przykład kierowniczki punktu skupu Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego w Szumowie (woj. łomżyńskie) — Haliny G., która od marca do grudnia 1976 roku przywłaszczyła ponad 200 tysięcy złotych.*

Halina G. wykorzystała fakt zbyt rzadkich wizyt kontrolerów oraz łatwości spisywania ziemniaków — towaru łatwo psującego się — na straty. Wpadła więc na pomysł wystawiania fikcyjnych kwitów dostaw. Rolnicy nawet nie dostarczając ziemniaków, pobierali z Banku Spółdzielczego pieniądze i solidarnie dzielili się z kierowniczką [...]."

No, ona akurat miarkę przebrała. Za duży od razu miała apetyt. Ale znam takich kolegów którzy sukcesem uwieńczyli swoje próby. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt zgarnęli i jakoś do dzisiaj cisza. Jedna wpadła, a wszyscy pojechali dalej. Pamiętaj przeto, abyś nigdy nie był tym, który chce najwięcej zarobić. Trzymaj się normy i załóż sobie; jeśli maksymalny zysk wynosi powiedzmy trzysta tysięcy, ty zgarnij do swojej kieszeni jedną trzecią. Te wszystkie poczynania musisz mieć uzgodnione ze swoją znajomą górą. Niech ci się noga powinie na jakiejś tam kwocie, zawsze cię wybronią, bo powiedzą, że jesteś swoim człowiekiem, bo leżysz w ich interesie. Sytuacja z psującymi się ziemniakami powtarza się co roku. Przymrozki zawsze chwytają niespodzianie, tak na polu jak i na punktach skupu. Starzy wyżeracze tylko na to czekają, a oni stanowią większość. Wystarczy, że tylko w jednym miejscu chwycił przymrozek i zniszczył dwie-trzy tony. Zaraz otrzymujesz informacje ze wszystkich oddziałów o identycznych przypadkach. Spisujesz protokół. Komisja z reguły nie przyjeżdża, bo już wie, o co chodzi. Zresztą, któż w dobrej firmie nie ufa swemu pracownikowi. Podajesz, że zmarzło ci na przykład tysiąc ton ziemniaków. Rozpisujesz tę wielkość na poszczególne punkty skupu, a ich personel (obowiązkowo tylko swój człowiek), wystawia kwity na zaufanych chłopów. Pieniądze na ten cel idą z przedsiębiorstwa. Niech wam wypłacą po 340 złotych za metr. Niech ci zostanie z tego trzecia część... Tylko pamiętaj: musisz być bardzo uczciwy w stosunku do swoich wspólników. Zazdrość i chciwość ujawniły niejedną robotę, która powina była się powieść.

Poszła kolejna seta, za nią następna. Opuściłem lokal, kiedy słońce siedziało już na najbliższych drzewach. Kończył się kolejny, świąteczny dzień, w którym różni ludzie dobijali różne interesy — na miarę swoich potrzeb, sprytu, znajomości w sporadycznych światkach nazwanych układami.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot GABOR LÖRINCZY

Misjonarz w czerwonym krawacie

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

wspólnoty społecznej. Chętnie wspominam moje ukierunkowanie życiowe przez ludzi innojęzycznych, obcych mi obyczajami, kulturą i sposobem bycia.

Przyszła wojna. Raczej wybuchła znienacka. Dowiedziałem się o tym w południe, kiedy kobiety szły doić krowy. Było 21 czerwca 1941 r. Zaraz po przemówieniu Mołotowa kobiety zaczęły szlochać. Mężczyźni stali i patrzyli jeden na drugiego.

— Komuniści! — tak nazywali siebie partyjni. — Będziemy bić wroga na naszej ziemi. Zemścimy się za nasze matki i dzieci tam, na zachodzie. Zemścimy się za Brześć n. Bugiem, który padł pierwszy ofiarą najazdu faszystowskiego. — Tak wystąpił jeden z nich. I głośno zawołał: — Śmierć niemieckim okupantom!

Tłum w cichości zawtórował: — Śmierć!

Potem rozeszliśmy się po chałupach. Po cichu przygotowywano się do drogi. Jedynie lampy naftowe wskazywały do późna w nocy, że tu znajduje się wieś zagubiona w tajdze, szykująca się do walki na śmierć i życie. Mieszkałem u jednych takich. Nazywali się Kozłowscy, Ukraińcy. Osiedlili się tam dawno temu.

Po kilku dniach poszli wszyscy błotnistą drogą, wiodącą przez bagna. Była wyłożona balami, jak okiem sięgnąć. Sam ich odprowadzałem, bo zżyłem się z nimi nie tylko w pracy, w polu, ale w świetlicy przy śpiewkach i tańcach. Z takim Jurką zaprzyjaźniłem się bardzo. Pokazywał mi, jak łapie się ryby na wnyki, bo w moich stronach tego się nie nauczyłem. Pokazywał tajgę tak od środka, gdzie rosła moc porzeczek czerwonych, białych, czarnych, moc agrestu, szyszki cedrowe na wysokich, może stumetrowych, cedrach. No i ta czeremcha, o drobnych, białych kwiatach wiosną. Raczej na przednówku lata, bo wiosny tam nie ma. Podpatrywaliśmy wiewiórki, a czasem zaglądało się do Miszki — misia. Tylko tak z daleka, pod wiatr. Teraz Jurka szedł do woja. Z nim szli starsi i młodzi. Widać było ich iskrzące się oczy, ale żaden nie płakał. Stanęli do szeregu. Chłopskim krokiem, jak kto umiał, szli i śpiewali piosenkę: „Rozkwitały jabłonie i grusze". „Katiuszę". Harmonia im wtórowała i bzykanie komarów.

Większość prac przejęły kobiety. Kozłowskie uczyły się zawodu traktorzystów. „Stalińcami" nazywały te traktory na gąsienicach. Ja chodziłem w tajgę z rówieśnikami na jagody. Pod zimę zrywałem czeremchę, którą suszy się i miele, bo świeża jeść nie sposób — niesmaczna

Tak zeszło lato 1941 r. Przyszła sroga zima. Staliśmy wszyscy w świetlicy kołchozowej, by posłuchać sowieckowo infonbiuro. Wojska radzieckie cofały się. Wiadomości były skąpe. Ludzie niepokoili się o efekt wojny na Dalekim Wschodzie; czy Japończycy nie zaatakują. Czułem, że mam obrożę, że coś mnie dusi. Nie, w tym kołchozie nie spełnię swego zadania! Kiedy przeczytałem „Prawdę Nowosybirską" i zobaczyłem zdjęcia młodych chłopców, którzy stają przy tokarniach, frezarkach, pracują w odlewniach, nie wytrzymałem, uciekłem z kołchozu. Nawet mi dzisiaj głupio o tym pisać. Uciekłem jak zdrajca, ale dlatego, by uniknąć rozstania z zaprzyjaźnionymi ludźmi, których tak kochałem, jak syn matkę i ojca.

Przez tajgę, sam jak palec, bez mapy i wskazówek, bo wsie są odległe od siebie przynajmniej o 18—25 kilometrów, szedłem dzień po dniu, aż doszedłem do rejonowego miasta Kałpaczewo. Stamtąd rzeką Ob przypłynąłem do Nowosybirska. Tutaj zaczęły się kłopoty osobiste. Władze nijak nie chciały zrozumieć, że jestem bez matki i ojca. Nie miałem dokumentów. Odsyłali mnie jeden do drugiego. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego każą czekać, dają adresy i odsyłają. Okazało się, że do sierocińca. Siadłem w pociąg towarowy na gapę i pojechałem do Tomska. W Tomsku znowu to samo. Aż krzyknąłem w biurze na cały głos: — Złożę skargę tow. Stalinowi, że nie chcecie okazać mi pomocy i skierować do pracy. Mój ojciec walczy na froncie. A wy?!

— No, to nie jesteś sierota. Trzeba było tak od razu. W jakim wojsku? Formacji? Poczta polowa?

Nie wiedziałem.

— No, dobrze. Jak otrzymasz list, to pokażesz nam. A teraz skierujemy cię do fabryki.

Dusza we mnie urosła. Będę pracował w fabryce, mając lat 13.

W fabryce zacząłem zadzierzgiwać związki z robotnikami. Pokazywali mnie, wieśniakowi, jakie jest naprawdę miejskie i robotnicze życie w tak trudnym okresie. Przyjęli mnie serdecznie. Ponieważ mam trudne nazwisko, więc nazwali mnie Polak: — Idź, Polak, przynieś kazeinę.

I tak byłem chłopcem na posyłki. Zbuntowałem się na takie traktowanie. Przecież chodziłem, jak każdy, na woskresniki, tzn. do pracy w niedzielę, dla frontu, bez zapłaty. Najpierw pracowałem przy obrabiarkach. Skrawałem ręcznie, aż mi ręce puchły od nacisku. Za to w niedzielę szedłem do pracy przy piecach, gruszkach Majsnera. Ile potu wylałem, ile klątw wypowiedziałem! Klątem, bo chciałem pokazać, że jestem dorosły. Popierosów nie paliłem, ale plułem przez zęby najdalej. Strzygłem się, jak inni, pod polkę. Tak mówiono u fryzjera.

Przychodziłem do pracy bardzo rano. Gdy raz szedłem, napadła na mnie banda młodocianych opryszków. Zabrali mi kartki żywnościowe. Wstyd mi było prosić kogokolwiek o chleb. Gdy po kilku dniach słaniałem się z głodu na nogach, baby wołały: — Sprzedał swoje kartki na bazarze, teraz głoduje. Cwaniak! Oszust! Chce na litość nas wziąć!

Podeszli do mnie frezerzy, ślusarze i inni. Otoczyli kołem. — To wygląda na śmierć głodową.

Jak usłyszałem słowa: „śmierć głodowa", zapłakałem i upadłem. Znalazłem się w izbie chorych. Przy mnie stał w fartuchu mój majster Koleśnikow. — Dlaczego ty nie powiedziałeś o tym nam, komunistom?!

Mnie włosy dęba stanęły. Komunistom?! Ja, katolik wierzący i praktykujący, będę z komunistami się zadawał?! Pamiętam jeszcze słowa księdza w Miniszkach, jak z ambony wołał do wiernych: — Kto zada się z komunistami, będzie wyklęty przez Boga, przez papieża, księży i najbliższych. Nikt takiemu nie poda chleba w potrzebie, wody i lekarstwa. Ta klątwa była dla mnie przestrogą. Teraz leżałem w izbie chorych i nieśmiało patrzyłem na komunistę. Mówił: — Ty, pareń, dobrze pracujesz, dobrze rajcujesz i łobuzujesz. Ale kiedy trzeba prosić o pomoc, to nas nie znasz! Tak mnie strofował dobrodusznie.

Gdy wyszedłem z izby chorych, wszyscy w oddziale otoczyli mnie kołem. Obdarowywali mnie chlebem i czym kto mógł. I tak nazbierało się tego do końca miesiąca. Organizacja partyjna wszystko to zorganizowała. Już nie bałem się klątwy, bo miałem na myśli słowa Chrystusa: „Nakarmcie głodnych i napojcie, jeżeli tego pragną". Kartki żywnościowe oddałem na przechowanie do szefa stołówki.

Zima 1942 r. była ostra. Miałem na sobie kufajkę i spodnie watowane, czapkę uszatkę watowaną i wojłoki. Po rosyjsku — pimy. Otrzymywałem zapomogi z Czerwonego Krzyża. Raz odbywało się zebranie całej załogi przedsiębiorstwa w wielkiej świetlicy. Było zimno, bo węgiel postanowiono oddać dla frontu. Sekretarz partii powiedział: — Niemiecki wróg stoi pod Stalingradem. Armia Czerwona zatrzymała go tam. Co możemy zrobić, by żołnierzom pomóc? Mróz tam dochodzi do — 30°C. U nas jest — 35°C, ale my pracujemy w pomieszczeniach. Oni tam walczą na mrozie, bez żadnych podmian.

Tak powiedział i spojrzał dookoła. Ktoś nagle powiedział: — Dla frontu oddam swój gruby szal wełniany i rękawiczki podbite futerkiem.

No i posypało się. Wszyscy chcieli naraz gadać i dawać. Jedzenia nie przyjmowano, bo nie chciano dopuścić do zagłodzenia ludzi pracy. Ludzie dawali ubrania, buty, złoto i srebro.

Młodzież milczała. Co mogliśmy dać tym żołnierzom? Ja byłem w lepszej sytuacji materialnej od innych. Kartki uzupełniła mi załoga fabryki i otrzymywałem pomoc z Czerwonego Krzyża. Kilka dni temu dostałem nową bieliznę osobistą, ubranie, buty, płaszcz. Zawołałem kilku najbliższych przyjaciół i powiedziałem: — Jak mam sprzedać na bazarze i przejeść te ciuchy, to lepiej oddam je żołnierzom.

Ale walczyłem z sobą. Żal mi było fajnego ubrania i bielizny. Ile na tym mogłem zarobić bochenków chleba i zupy, mleka, sera? Mam oddać za darmo, za nic? W duchu klątem na pomysłowość wyrywnej robotnicy. Pewnie miała w domu wszystkiego pod dostatkiem. „Pal licho! Cały dobytek, otrzymany w ramach zapomogi, podzieliłem wśród kolegów. Byli to Tatarzy, Kirgizi, Ukraińcy, Białorusi, Rosjanie. Trzeba było iść do domu i wszystko przynieść, co odnotowane w protokóle. Poszliśmy do hotelu. Jeden do mnie mówi: — Wiesz, sprzedajmy wszystko na bazarze i powiemy, że nam ukradli.

Popatrzyłem na niego. — Jak tak można? A sumienie ty masz czy nie masz?

Na początku lutego 1943 r. tryumfowaliśmy pod Stalingradem. Dyrektor zakładu kazał wtoczyć beczki piwa do stołówki, na każdą zmianę po trzysta litrów i więcej. Pierwszy raz w życiu piłem piwo. Zaprosili mnie starsi majstrowie: — Ty, pareń, jesteś swój. Chodzisz w podartych portkach, choć mogłeś nosić nowe i eleganckie. Pij!

Drugi odbierał mi kufel z piwem: — Co robisz? Parniszkę do alkoholu przymierzasz?

I tak na zmianę; co łyknę piwa z kufla, to zaraz mi zabiorą. Śmiechu było i radości bardzo dużo. Zaczęto śpiewać czastuszki: miałem jedną nową kufajkę w domu, musiałem oddać ją żołnierzowi walczącemu pod Stalingradem. Zanim odjechała ta kufajka do Stalingradu, była tak strasznie nadziana kulami, że gdy ją wyjęli z worka, zaczęła natychmiast strzelać do fryców; padali pokotem. Takie mniej więcej improwizowano przyśpiewki.

Ale okrutna wojna wciąż trwała. Jeszcze w 1942 r. był zaciąg do Armii Andersa. Pojechałem do Nowosybirska, by wstąpić do polskiego wojska. Tam komisja popatrzyła na mnie, jak na zbiega: — Czy ty nie jesteś za bardzo czerwony?

Odparłem: — Nie, przecież widzicie, jaką mam bladą, zmizerowaną twarz.

Popatrzyli na siebie: — My w sensie moralnym.

— Przecież moralnie jestem zdrowy.

— A ty umiesz się modlić?

Odparłem: — Wychowywałem się u księży w Wilnie do 1939 r., to umiem. Codziennie modlę się rano i wieczorem, tylko przy obiedzie się nie żegnam, bo załoga śmieje się ze mnie w stołówce.

Zmówiłem wszystkie mi znane modlitwy: od przykazań Bożych aż po sakramenty. Siwy pan popatrzył na mnie i powiedział: — Jesteś taki sam obłudny, jak ten Faryzeusz w świątyni. Jedź, skąd przybyłeś, bo oddamy cię milicji.

Pojechałem jak niepyszny do swej fabryki. Zastałem ją w gruzach. Zapłakałem nad jej szczątkami. Załoga została skierowana do innych zakładów. Musiałem od nowa adaptować się wśród przyjaciół.

Na zebraniu po zwycięstwie pod Stalingradem masa ludzi zapisywała się do organizacji partyjnej. Dziwiłem się: co oni widzą w tej partii? Każą im dawać ostatki dla frontu — oddają. Każą im pracować po godzinach dla frontu — pracują bez szemrania, jeszcze innym zabraniają szemrać. Wszystko to dla mnie było niezrozumiałe. Na jednym zebraniu poprosiłem, by mnie zapisano do Komsomołu. Zapytano, czy ja wiem, co to jest Komsomoł? Powiedziałem, że nie wiem, ale tylu młodych spotyka się w świetlicy, że i ja chciałbym spotykać się z nimi, bawić się, dyskutować. Odparł mi starszy chłopak: — Przecież tam się nie bawimy, lecz działamy.

— E! — odpowiedziałem. — Samą dyskusją żyjecie, przecież jesteście młodzi.

Nie zostałem przyjęty. Miałem zapoznać się z celem organizacji, no i koledzy musieli wywiad zrobić o mnie. Mijały miesiące. Na jednym z zebrań kazali mi przedstawić swój pełny życiorys, a potem odpowiadać na pytania ze Statutu oraz — kto to był Lenin i kim jest Stalin. Zostałem przyjęty. Teraz nie mogłem już kląć publicznie, bo zaraz bym został napiętnowany jako wróg klasowy, odchyleniec. Gdy mi coś doskwierało, klątem po polsku. Przezwano mnie „Cholera". Żeby nie nosić tak brzydkiego przezwiska, klątem: psia krew! To znowu koledzy przezywali mnie „Psia krew". Ja w odwet na nich: — Ty „Job twoju mać" jesteś. Przestali mnie przezywać.

W zwycięstwo Armii Czerwonej pod Kurskiem w 1943 r. zakład urządził wielki bal. Komsomoł miał czuwać nad jego przebiegiem. W sklepie na ten cel ukazała się wódka „Moskowskaja", no i każdy mógł dzień naprzód pobrać swe przydziały z kartek żywnościowych. Poszedłem na ten bal jako porządkowy. Zebrało się w wielkiej sali, na tysiąc osób, bardzo dużo ludzi. Z wielką radością przyjęli informację radiową: „Nasze wojska dzisiaj, 25 sierpnia 1943 r., rozbiły pod Kurskiem wszystkie znajdującej się tam pancerne dywizje wroga".

Zanosiło się na wielki festyn. Orkiestra przygrywała najpierw wojskowe marsze zwycięskie, a potem była część oficjalna: przemówienia i toasty na cześć Stalina i Partii, na cześć władzy radzieckiej. Wyrżnęli w bęben na znak rozpoczęcia tanów. Każdy wyładowywał swoją radość w przytupach i podskokach. Kiedy zagrano krakowiaka, serce mi podeszło do gardła. W Laurowie, w sierocińcu, tańczyłem go na scenie.

Zabawa się skończyła. Wróciliśmy do pracy z wielką energią. Ja wykonywałem swoje zadania dość wysoko. Za nadnormy odmówiłem brania pieniędzy. Tak postępowała cała załoga. Szły one na front. Zaczynałem nabierać kolorów czerwonych, jak to mówią, duchowo i moralnie, bo niczym nie różniły się od religijnych norm: pomagaj towarzyszowi w biedzie, zwalczaj nieprawości, zwalczaj kapitalistów, władza należy do ludzi pracy miast i wsi. Tego ostatniego nawet religia w swych naukach nie była skłonna przyznawać.

Kiedy powstał Związek Patriotów Polskich w 1943 r., zaraz po zwycięskiej bitwie Kurskiej, ogłoszono zaciąg Polaków do Dywizji Tadeusza Kościuszki. Pojechałem i ja do punktu zbornego, ale odrzucono moja kandydaturę z uwagi na bardzo wybiedzoną sylwetkę. Obraziłem się bardzo. Jak tak można? Do ciężkiej pracy się nadaję, ale walczyć z niemieckim okupantem i najbliższą drogą iść do Polski zabraniają! Postanowiłem jechać na własną rękę. Wojna trwała jeszcze na przedpolach granic dawnej Polski, a moje serce rwało się do boju.

Udałem się na zachód radzieckim transportem wojskowym. W Sumi stał transport rannych żołnierzy, jadących na wschód. Wybiegła z wagonu sanitariuszka z wiaderkiem i stanęła bezradnie. Żołnierze siedzący okrakiem w wagonach pokpiwali

pokolenia

z niej. Wyszedłem z ukrycia, podbiegłem do niej, złapałem wiaderko i pod wagonami ruszyłem po wodę. Teraz śmiali się ze mnie, bo jak się schyliłam, to rozwierały się podarte spodnie i odsłaniały genitalia. Ale wodę przyniosłem.

Pojechałem na wschód. Siedziałem w wagonie pulmanowskim i liczyłem kilometry. Żołnierze opowiadali mi o walce.

— Strzelałem z kulomiotu do wroga do ostatniego naboju, aż zostałem trafiony — mówił jeden. — Łapię za cyngiel: nie mam czym złapać, bo nie mam dłoni. Wtedy rzuciłem się do ucieczki.

Opatrywałem im rany. Raz jeden konający bardzo mnie prosił, bym mu zaśpiewał po polsku jakąś smętną piosenkę. Nie mogłem sobie nic takiego przypomnieć, więc zaśpiewałem: „Była babuleńka z rodu bogatego, miała koziołeczka bardzo rozpustnego". Słuchający zapadał w sen. Obudził się i powiedział: — Żegnaj, przyjacielu polski. Umieram za Stalina, za Ojczyznę. Jestem komunistą, a ty śpiewaj dalej, jak umrę. Dokończ swą piosenkę tak, jak dokończyłem swoje dzieło na ziemi radzieckiej. — I skonał.

Na jakiejś stacji zostałem zatrzymany przez patrol wojskowy i osadzony w areszcie. Tam przekonałem straż, że jadę do wojska polskiego, i wypuścili mnie na wolność. Transportu już nie było. Wsiadłem w ostatniej chwili do pociągu wojskowego i pojechałem na zachód. Żołnierze byli bardzo sentymentalnie nastawieni do młodzieży. Mimo surowych zakazów — zabrali mnie z sobą. W maju 1944 r. znalazłem się w Mołdawii. Nasz transport został zbombardowany. Nie mogłem zostać z rozbitym transportem. — Nie miałem dokumentów ani zezwolenia, a na dodatek znajdowałem się w strefie wojennej. Odszedłem w górzysty las. Trafiłem na koczujących Cyganów. Przyjęli mnie, blondynka, do taboru. Miałem ich słuchać, być pomocnym w potrzebie i opiekować się wszystkim i wszystkimi. Tułałem się dzień i noc z Cyganami, przekazywany co rusz jakiemuś napotkanemu szczepowi. Tak dotarłem do swojej Polski. Wróciłem na wieś, gdzie mieszkała moja matka.

Kiedy mnie zobaczyła, przestraszyła się. — A ty skąd tutaj? Ale skoro jesteś, to siadaj i jedz chleb z mlekiem. Ty pewnie z daleka jesteś. Jest i polska partyzantka, która nie sprzyja Czerwonej Armii. Jeżeli ty czerwony, to lepiej odejdź. Zagrażasz mnie i moim dzieciom.

Nieufna była.

— Ostatecznie jesteś synem, to zostań, przydasz się jeszcze.

Zameldowała mnie u sołtysa. Przyszli bracia i siostry matki. Dziwili się, jak można taki kawał świata zwiedzić. Nie mówiłem im, skąd wracam. Zmyślałem, co mogłem i jak umiałem. Udało się, skoro nie pytano więcej o nic. Starałem się zająć tylko pracą. Wychodziłem w pole nie jako syn mej matki, tylko jako parobek. Dano mi nawet dokumenty na inne nazwisko: Paczkowski Edward — człowieka, który już nie żył.

Niemcy jeszcze byli. Przeważnie zajmowali się wydobywaniem z rzeki Niemen kamieni do swych bunkrów. Gdy zapuszczali się z ekspedycją karną, napotykali na opór ludności. Mało który wracał żywy. To organizacja „Vici" dawała znaki o pojawieniu się wroga. Niemcy zastawali we wsiach puste chałupy.

Zbliżał się koniec wojny. Wszyscy wiedzieli, że w okolicy są partyzanci radzieccy, że tworzą podziemną władzę ludową. Trzeba było wyjść do ludzi z mową, uświadamiać ich. Plotka szła bardzo wredna i niesmaczna. Sam dziwiłem się, jak można nie rozumieć całej sprawy. Pojąłem to, kiedy się dowiedziałem, że jeden mieszkaniec wsi miał cztery klasy szkoły podstawowej, a reszta to analfabeci. W mojej rodzinie żaden z czterech wujków nie miał wykształcenia, matka niegramotna, ciotki niepiśmienne. Ja miałem wykształcenie podstawowe, więc mnie wypadało wziąć obowiązki propagandzisty. Umiałem zjednać sobie chłopców i dziewczęta, opowiadając o wyzysku człowieka przez człowieka, o nowym życiu, o nowej kulturze socjalistycznej. Miałem zadanie skromne, lecz niebezpieczne. Radziecy towarzysze, ukrywający się u nas, bardzo mnie polubili. Pouczali mnie, jak mam postępować, żebym za daleko nie galopował, bo od swoich oberwę. Nie mogłem uwierzyć, ale przekonałem się naocznie.

2 czerwca 1944 r. przyszła do nas Armia Czerwona. W potyczce z Niemcami zostałem lekko ranny w nogę. Na polu pozostało kilku zwiadowców radzieckich. Jednego pamiętam: upadł i w dłoń jeszcze chwycił kwitnącą żurawinę (było to na terenie błotnistym). Tak przyszła do naszej wsi Klebańce wolność. Zaraz zakładano władzę radziecką. Zgłosiłem się, bo doskonale władałem językiem rosyjskim. Powierzono mi utworzenie Związku Walki Młodych. Ale młodzi odmawiali wstępowania. Poradzono mi, bym założył organizację „Vici". Na zebraniu wszyscy zgodzili się wstąpić. Kilku zdziwiło się, że raptem się nawróciłem. Ale przekonać wieś trzeba było umieć. Sam nie dałbym rady. Działać można zbiorowo, pod jednym kierownictwem.

I tak zaczęła się nasza działalność. Najpierw nauczanie podstawowe: litery, mnożenie, dzielenie, dodawanie i odejmowanie do stu. Potem czytanie prasy radzieckiej. W języku polskim i rosyjskim. Sam wielu rzeczy politycznych nie rozumiałem, ale jedno już wiedziałem: ma nie być wyzysku człowieka przez człowieka. Niech każdy na siebie pracuje. Wieczorami, jak to młodzi, przychodziliśmy do remizy strażackiej, która służyła nam za świetlicę. Tam urządzano tany na wzór syberyjski. Przy patefonie walizkowym graliśmy i śpiewaliśmy. Robiliśmy gazetki ścienne.

Pomagaliśmy też przy siewach jarych i obcinaniu ostu w zbożach ludziom starszym i tym, którzy byli na froncie, bo wielu dobrowolnie poszło do wojska, m.in. moi dwaj wujkowie oraz ojczym. I tak wieś się osuszyła z mężczyzn. Wieczorami siedzieliśmy przy lampach naftowych i uczyliśmy. Ja uczyłem pisać i czytać. Występowałem na zebraniach i mówiłem o władzy: że jest dla ludu, że nie tak, jak przed wojną, że każdy może wejść do władzy gminnej, nawet nie umiejący czytać. Kiwali głowami, ale to było rzucanie grochem o ścianę.

Pamiętam jedno zdarzenie. Jechałem rowerem-gratem do gminy przez las, czy z gminy do domu. Zastąpili mi drogę leśni. Skąd? Dokąd? Kręciłem, jak mogłem. Ale oni w papiery: — A! Paczkowski! Słyszeliśmy o tobie. Dawaj dupę na pień.

Zdjęli mi spodnie i wlali porządnie po gołym tyłku.

— To masz za władzę radziecką, to za Komsomoł, to za komunę!

Na koniec rower mi zabrali i musiałem drałować pieszo kilkanaście kilometrów. Pokazali mi jeszcze granaty i steny. Poszedłem do domu zbity i zdruzgotany. Ale nie płakałem. Zaciąłem się. Zboczyłem w las, w znane mi miejsca, i tam długo leżałem na ziemi.

WODNIK

Rys. Stanisława Kędzielawskiego

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

19 lat i co nieco zaznałam życia (seksualnego również). Poza tym mam chłopaka, z którym już długo jestem szczęśliwa i zamierzam go poślubić. Uważam, że Wiesiek się myli, bo nie można wszystkich dziewczyn traktować jednakowo — są przecież różne.

HANKA
(nazwisko i adres znane redakcji)

—◆—

Odnośnie notatki zamieszczonej w „Kontaktach" w rubryce „Spięcia", dotyczącej dzierżawionych pomieszczeń z przeznaczeniem na sklep w Borkowie, Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Kolnie wyjaśnia, że umowa na dzierżawę tych pomieszczeń zawarta została z właścicielem w kwietniu 1973 roku na okres 10-ciu lat i wygasa dopiero w 1983 roku.

Ze względu na to, że GS w formie zaliczki dopomogła właścielowi kwotą 40.000 zł w pracach wykończeniowych w budowie budynku w którym znajduje się sklep, Spółdzielnia zastrzegła sobie w umowie prawo pierwszeństwa do przedłużenia umowy.

W 1975 roku na prośbę wynajmującego spółdzielnia podwyższyła czynsz dzierżawny za lokal i wynajmujący panowie podpisując umowę zawarli ją do 1983 roku, tak więc umowa jest nadal aktualna.

Wracając do rzeczy, informujemy o przyczynach konfliktu między Spółdzielnią a właścicielem lokalu. W ubiegłym roku Ob. Dąbrowska Stanisława zwróciła się do nas o rozwiązanie umowy — co było niemożliwe ze względu na brak nowego lokalu na potrzeby sklepu. Wyrażając zgodę na rozwiązanie umowy spowodowalibyśmy pozbawienie miejscowej ludności sklepu. Biorąc to pod uwagę poinformowaliśmy ob. Dąbrowską, że obecnie czynimy starania w zakresie znalezienia lokalu i dopiero z chwilą jego znalezienia będziemy mogli rozwiązać umowę.

B. KOLANKO
prezes zarządu

Od redakcji: Szkoda, że nie podał od razu tych informacji zastępca prezesa GS w Kolnie, z którym o sklepie rozmawialiśmy telefonicznie. Powiedział on jedynie, że faktycznie szukanie nowego lokalu na sklep trwa za długo, lecz na dniach sprawa będzie wyjaśniona. Wyjaśniona nie została, stąd — notatka w „Spięciach".

—◆—

W związku z notatką w Waszym tygodniku z dnia 2 sierpnia br. w rubryce „Spięcia" dotyczącą wysypiska śmieci leżącego obok posesji Ośrodka Szkolenia Zawodowego Kierowców LOK w Łomży, Zarząd Wojewódzki uprzejmie informuje, że wysypisko nie należy do Ligi Obrony Kraju, ani też nie jesteśmy uprawnieni do jego porządkowania.

Uważamy jednocześnie, że osoba redagująca notatkę lub artykuł w prasie winna zorientować się dokładnie kto odpowiada za dane niedociągnięcia, bałagan, niegospodarność itd., a nie przypisywać czegoś podobnego pierwszej z brzegu instytucji, czyli „strzelać" w ciemno. Takie nieprawdziwe stwierdzenie zamieszczone w Waszym tygodniku są bardzo krzywdzące a zarazem podrywające autorytet naszej organizacji i etatowych pracowników LOK.

Ppłk HENRYK SARNACKI
Wiceprezes Zarządu Woj.
Ligi Obrony Kraju w Łomży

Od redakcji: Do kupy śmieci nikt się nie przyznał. Najważniejsze jednak, że zniknęła już ona z pola widzenia. A swoją drogą, czy faktycznie poczucie estetyki nie mogłoby przejawiać się w czymś innym niż spokoju ducha, że „to nie moje". Tym bardziej, że owa strategiczna góra śmieci prawie zrosła się z murami, które ani chybi należą do LOK-u.

NIE DAJMY SIĘ BIEDZIE

Z pozycji (nie) nogi na rękach

Z Ryszardem Kozłowskim, dyrektorem łomżyńskiego hotelu „Polonez" rozmawiają Danuta i Aleksander Wroniszewscy.

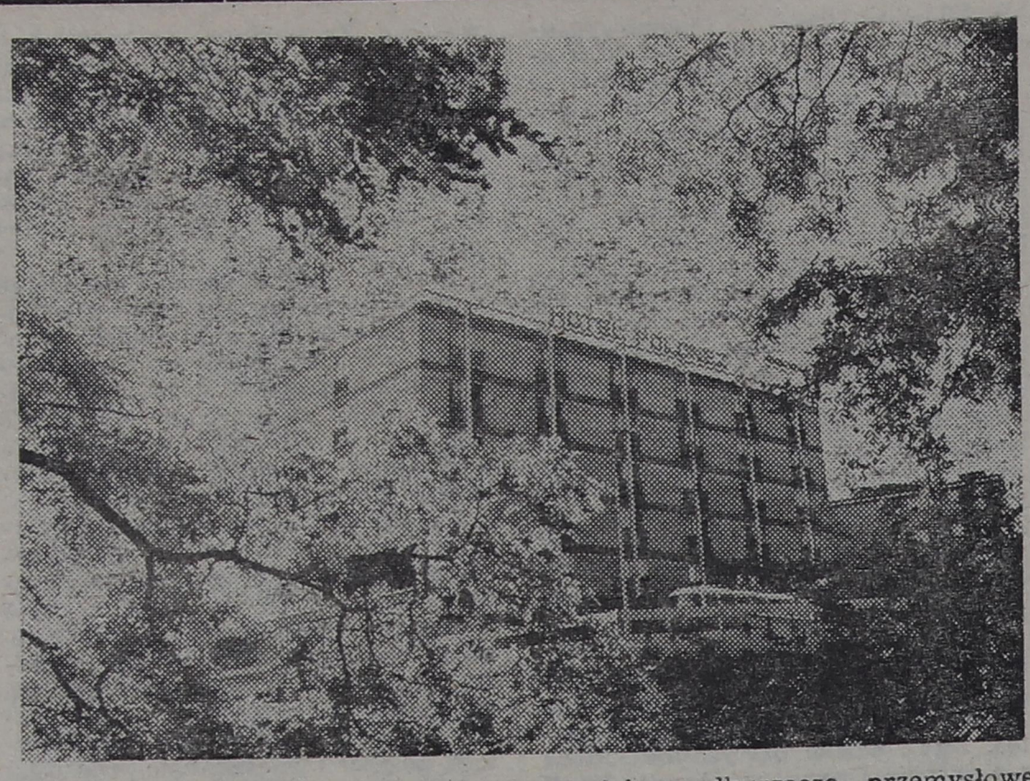

— Pańscy goście coraz głośniej komentują ceny.

RYSZARD KOZŁOWSKI: — Że za niskie? To prawda. Znacie państwo ceny w „Satyrze"? U nas filet schabowy kosztuje 41 złotych, tam 100.

— Raczej za wysokie. Mniej dotyczy to dań obiadowych, ale napoje...

R.K.: — Pretensje bezpodstawne. Jesteśmy przecież zakładem kategorii pierwszej, a więc zgodnie z uchwałą Rady Ministrów mamy prawo do ustalania własnych cen.

— Ale chyba w granicach przyzwoitości, nie po 60 zł za butelkę piwa.

R.K.: — Gdyby cena piwa była niższa, to mielibyśmy tu nie restaurację, a pijacką spelunę.

— Czy nie lepsze byłoby ograniczenie sprzedaży?

R.K.: — Przy takim popycie? Przecież naszego zakładu nie można traktować na równi z „Mazowiecką" czy „Kameralną". My przyjmujemy zamówienia od grup turystycznych z półrocznym wyprzedzeniem. Musimy mieć większe ilości. A poza tym, jestem pewien, że nie stracimy klienteli nawet po następnej podwyżce.

— To znaczy, że ryzyko stania się speluną grozi wam przy każdych cenach?

R.K.: — Bez obaw. Nie podajemy więcej niż jedną butelkę. Nie sprzedajemy też na wynos. Oczywiście istnieje w tym względzie pewna elastyczność. Kelnerka powinna zawsze umieć wyczuć gościa. Taki kierowca na przykład teraz nie może, bo jest w drodze, ale za 2—3 godziny z chęcią by sobie wypił. Więc dlaczego mu nie sprzedać?

— Powiedzmy, że w imię walki z alkoholizmem zgodzimy się z taką argumentacją odnośnie piwa. Ale horrendalnie wysokie ceny na inne napoje, np. pepsi, to po prostu zlegalizowana spekulacja.

R.K.: — Raczej sprawdzona, żydowska praktyka. Jeżeli jest popyt, powinno się z tego korzystać. Teraz mógłbym sprzedawać butelkę pepsi nawet po 50 zł i jedynie względy humanitarne sprawiają, że kosztuje ona 25 zł. Jestem w Łomży jedynym dostawcą pepsi. Gdyby nie to, że staram się ściągnąć ją z Łodzi, Warszawy, mielibyśmy dziennie w sprzedaży siedem i pół butelki. Tyle, ile mógłby mi zapewnić Wydział Handlu.

— Domyślam się więc, że rządzi pan bardzo dochodową instytucją.

R.K.: — Niezupełnie. W tym roku np. jedziemy na stratach.

— Niemożliwe!

R.K.: — Nie zawsze byliśmy zakładem deficytowym, ale i nigdy nie robiliśmy fortuny: 500 tysięcy, najwyżej milion złotych dochodu. Tak było do września — października ubiegłego roku. Wyłożyliśmy się na funduszu pracowniczym. Nic dziwnego, skoro w 1978 r. wynosił on 5,7 mln zł, rok później już blisko 7 mln, a w tym osiągnie prawie 9. Poza tym wzrosły koszty opału, środków czystości, benzyny. Musimy też zarobić na remont hotelu. Myślę jednak, że w związku ze zniesieniem cen „delegacyjnych" (220 zł za nocleg służbowy) i 30-procentowym wzrostem cen noclegowych zaczniemy niedługo wchodzić na swoje.

— Ile teraz kosztuje dwuosobowy pokój w „Polonezie"?

R.K.: — Blisko 500 zł. Gość zagraniczny płaci prawie 2 tysiące. Za tę różnicę otrzymuje jedynie śniadanie w pokoju

— Coraz mniej osób stać będzie na odwiedzanie Łomży.

R.K.: — Hotelarstwo w Polsce nie było do tej pory tak drogie, ale taniej nam się nie kalkuluje.

— A gdyby w Łomży powstał jakiś mały hotelik, któremu opłaciłoby się nocować gości taniej?

R.K.: — Chociaż „Polonez" w pełni pokrywa zapotrzebowanie na miejsca noclegowe — mamy tylko 70 proc. wykorzystania miejsc — faktycznie przydałby się tani hotel dla przeciętnych gości.

— Wspomniał pan o wysokim funduszu płac. Czyżby pracownicy „Poloneza" zarabiali krocie?

R.K.: — Zatrudniam 130 ludzi. Muszę im płacić tyle, ile się należy.

— Czy nie za dużo personelu? Na jednego gościa przypada jeden pracownik. Można klienta nosić na rękach!

R.K.: — Jesteśmy kombinatem łączącym rozmaite usługi: gastronomiczne, hotelowe, turystyczne.

— Może zjada was biurokracja? Ilu jest pracowników fizycznych, a ilu umysłowych?

R.K.: — Trudno jednoznacznie określić kto jest umysłowy, a kto fizyczny. Na przykład kelnerka pracuje i fizycznie i umysłowo. Oczywiście problem rozdmuchanej administracji jest ogólnopolską bolączką. Od końca ubiegłego roku trochę ją zmniejszyliśmy. Zostało 11 osób. Ale żeby móc uszczuplać administrację trzeba zacząć od cięć w sprawozdawczości. Mam znajomego, który jest właścicielem dwóch hoteli na Florydzie. Nie ma głównego księgowego i jedynie pięć pokojówek. Dziwi się że zatrudniam 17 sprzątaczek i kierowników pięter.

— My też.

R.K.: — Według mnie nie jest to stan zbyt wysoki. Na jednym piętrze jest 18 pokoi i do sprzątania przez trzy panie. Praca nie jest łatwa. Środki czyszczące są słabej jakości, specjalne odkurzacze przemysłowe źle skonstruowane, bo nie można ssawki wsunąć pod łóżko. Nikt się nie głowi nad odpowiednim wzorem bielizny pościelowej, czy lepszą jakością wykładziny podłogowej.

— Nie przesadzajmy z tą uciążliwością. Jedna pokojowa sprząta w ciągu całego dnia pracy 4—6 pokoi, to jest niewiele więcej niż każda pani domu, oprócz pracy zawodowej.

R.K.: — Chętnie zwolniłbym kilka osób i płacił w zależności od ilości sprzątniętych pokoi. Gdzieś już próbowano to wprowadzić. Prawdopodobnie jednak w naszym hotelarstwie system akordowy nie sprawdza się.

— Może sprawdziłby się przy odpowiednich wymaganiach i zarobkach.

R.K.: — Z pewnością. Uważam, że źle dzielimy wypracowany fundusz. Bo jaki interes ma zaopatrzeniowiec, który wybłaga towar lub kierowca, który go wozi, ładuje? Powinno być tak: mieliśmy np. wykonać planowo półtora miliona obrotu. Zrobiliśmy milion siedemset tysięcy. 50 tysięcy przekazujemy więc dyrekcji na potrzeby hotelu, a resztę dzielimy między wszystkich pracowników. Wtedy każdy by się zastanowił, jak się przyłożyć do tego, żeby firma prosperowała.

— A co pan zrobił, aby usprawnić pracę zakładu?

R.K.: — W czerwcu sprzedałem nieopłacalną pracownię cukierniczą. Ajent, bardzo dobry cukiernik, płaci nam miesięcznie 25 tysięcy za wynajem i zapewnia wyroby do naszych kawiarni i przyhotelowego sklepu. W czasie remontu zamierzamy wybudować własną pralnię. Cotygodniowe wożenie około tysiąca kilogramów pościeli do Białegostoku jest niedogodne. Tym bardziej, że zamiast tracić moglibyśmy jeszcze zarobić na usługach pralniczych dla innych łomżyńskich instytucji.

— Reprezentuje pan również jedno z pięciu działających w Łomży biur turystycznych. Jak ocenia pan działalność konkurencyjnych firm?

R.K.: — Jaka to konkurencja? W założeniu, każde biuro miało obsługiwać innego klienta: „Gromada" — wiejskiego, „Orbis" — zagranicznego, „Juwentur" — młodzież. Jednak, aby turystyka w Łomży się rozwijała, trzeba raczej połączyć siły. Nie mam wprawdzie zapędów monopolistycznych, ale uważam, że lepiej stworzyć jedno biuro i zatrudnić sześciu dobrych specjalistów od poszczególnych zagadnień, niż w pięciu firmach, robiących to samo, trzymać po jednym uniwersalnym pracowniku, który oczywiście na niczym nie zna się dobrze. Takie zjednoczenie poprawiłoby znacznie wykorzystanie bazy turystycznej i transportowej. „Biebrza" ma 9 autobusów, „Gromada" — 4, PTTK — 2, „Orbis" — 1, „Juwentur" chce dopiero coś mieć. Każdy posiada jakieś części zamienne, ale konkurencji nie pożyczy. Poza tym na każdą niewielką ilość samochodów jest już odrębna baza transportowa, z własnym kierownikiem.

— A w każdym biurze następny kierownik, księgowy. Sądzi pan, że władze nie dostrzegają paradoksu istnienia w Łomży aż pięciu biur turystycznych, gdy pracy jest najwyżej dla dwóch?

R.K.: — Problem był stawiany. Jednak walka z nonsensami zbyt dobrze się rymuje z walką z wiatrakami. Może dopiero reforma zmusi nas do przemodelowania łomżyńskiej turystyki.

— Dziękujemy za rozmowę.

sport do startu gotowi

„Rozwój cywilizacji, obok ogromnego postępu w rozwoju nauki i zaspokajania stale rosnących potrzeb ludzkości niesie za sobą także szereg ujemnych skutków, jak ograniczenie i niszczenie naturalnego środowiska człowieka, obniżenie jego aktywności ruchowej, szerzenie się chorób współczesnej cywilizacji, głównie nerwic i schorzeń układu krążenia.

Sport jest jedną z podstawowych form aktywności człowieka, która może zapobiec jego fizycznej i psychicznej degradacji. Ruch, ćwiczenia fizyczne, zajęcia sportowe, turystyka uprawiana systematycznie mają korzystny wpływ na wszechstronny rozwój organizmu młodego człowieka. Dla dorosłego są niezbędne do podtrzymania jego aktywności życiowej, zdrowia i dobrego samopoczucia.

Ludzie ćwiczący systematycznie mają zdecydowaną przewagę nad pozostałymi [...]"

Tytuł i nazwisko autora książki, z której pochodzi powyższy cytat, na razie niech pozostanie zagadką, której rozwiązanie dla większości Czytelników nie powinno nastręczać większych trudności. Autor, to postać dobrze znana w naszym kraju sportowcom i kibicom — i to nawet tym, którzy ze sportem stykają się jedynie za pośrednictwem prasy i telewizji. Dla ułatwienia powiem, że autor swoją książkę opracował z myślą o młodzieży. Teraz już wszystko powinno być jasne.

Aby wprowadzić trochę sportowej rywalizacji, proponujemy Czytelnikom, by przesłali odpowiedzi z tytułem książki i nazwiskiem jej autora na adres redakcji. Pomiędzy tymi, którzy udzielą trafnej odpowiedzi do 13 października br., rozlosujemy nagrody książkowe z dedykacją Redaktora Naczelnego „Kontaktów" i Wymiatacza.

Nie bez kozery wybrałem taki, a nie inny fragment. Mówi się w nim to, o co we współczesnym sporcie chodzi. Zachowanie sprawności fizycznej i umysłowej współczesnego człowieka zależy w dużym stopniu od jego kondycji fizycznej. Aby skutecznie opierać się ujemnym zjawiskom oddziałującym na nasz organizm powinniśmy aktywnie uprawiać sport. Chociażby pływanie, kolarstwo, bieganie, a zimą narciarstwo lub łyżwiarstwo. Nie potrzeba do tego doprawdy nic prócz chęci. A o tym, że systematyczne ćwiczenia fizyczne mają uzdrawiający wpływ na samopoczucie nikogo nie trzeba przekonywać. Wszyscy zdają sobie z tego sprawę, ale jakoś trudno dają się namówić do czynnego uprawiania sportu. Tak po prostu — dla rozrywki, odprężenia i osobistej satysfakcji.

Najmniej zachodu, a zarazem najwięcej satysfakcji daje bieganie, bo biegać można wszędzie. Mamy bogate tradycje: już od pierwszych miesięcy po okupacji — mimo wielkich zniszczeń, braku boisk i sprzętu — organizowane były masowe imprezy sportowe: Biegi Narodowe, Marsze Jesienne, a ostatnio Maraton Pokoju stał się popularną imprezą, w której uczestniczy tysiące ludzi.

Z zadowoleniem należy także przyjąć inicjatywę instytucji sportowych w naszym województwie zorganizowania w tym roku Biegu Nadnarwiańskiego, który będzie jeszcze jedną próbą popularyzacji biegania jako formy rekreacji i czynnego wypoczynku.

Ten bieg uliczny rozegrany zostanie 11 października, a jego trasa prowadzić będzie ulicami Łomży. Patronuje mu nasza redakcja, a organizatorem jest Okręgowy Związek Lekkoatletyki WFS w Łomży, przy współudziale Wydziału Kultury Fizycznej Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, Urzędu Miejskiego, Zarządu Oddziału Wojewódzkiego SZS, Zarządów Wojewódzkich LZS, ZSMP i TKKF oraz Wojewódzkiego Zrzeszenia SSP „Start".

Tych, którzy nie będą mogli czynnie uczestniczyć w biegu (jedynym usprawiedliwieniem może być noga w gipsie!) zapraszamy w tym dniu, o godzinie 11.00 na miejsce startu — Plac Żeglickiego, koło Urzędu Miejskiego i prosimy o doping dla uczestników na całej trasie biegu!

WYMIATACZ

kronika towarzysko-rodzinna

KRYSTYNA KICHNER jest mieszkanką Jednaczewa i pracuje w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego. **WIESŁAW RYBNIK**, jej mąż pochodzi z Białostocczyzny, ze wsi Rybniki. Jest operatorem sprzętu ciężkiego. Poznali się... na drodze. Dla niej najszczęśliwszym dniem będzie urodzenie syna. A ich wspólnym marzeniem — samodzielne mieszkanie.

GRAŻYNA JANKOWSKA i **SEWERYN CEZARY PUSZ** wspólnie wspominają wesele brata, na którym to Grażyna odbiła Seweryna starszej druhnie. I tak się zaczęło. On marzy, by szybko uporać się z budową domu. Ona, by wszystko układało się dobrze z teściami. Jednomyślnie pragną: osiągnąć pełnię szczęścia w związku małżeńskim i mieć więcej czasu dla siebie, co w zawodzie rolnika nie zawsze się udaje.

BARBARA KNEĆ i **STANISŁAW MACIEJEWSKI** przed ślubem przyrzekli sobie nigdy się nie kłócić. Dla niej największym przeżyciem były perypetie związane z poprawką z matematyki w pierwszej klasie szkoły zawodowej. Dla niego — długie oczekiwanie na końcowe uzgodnienie dnia ślubu.

pod redakcją Gabora Lörinczego

8.10.1981 TV 14.10.1981

CZWARTEK 8 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — język polski. sem. III. 6.30. Historia, sem. III. 9.35. Język polski, kl. VII. 11.00. Muzyka, kl. II. 11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII. 13.30. TTR, RTSŚ — chemia, sem. I. 14.00. Biologia, sem. I. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Czwartek TDC. 18.00. Informator turystyczny. 18.15. „Gotowość nr 1" — reportaż wojskowy. 18.50. „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa". 19.00. „Sonda". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Publicystyka DTV. 20.15. Rolnicze rozmowy. 20.25. „Spadkobiercy pani Burke" (4) — „Robi się gorąco". 21.35. „Pegaz". 22.25. Program publicystyczny. 22.50. Dziennik TV. 23.05. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. NURT: „Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki". 20.30. NURT: „Współczesne problemy pedagogiki pracy". 21.00. NURT: „Miejsce i rola filozofii w kulturze". 21.30. 24 Godziny. 21.40. „Rytm czasu" — „Renifer ze złotymi rogami". 22.10. „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny". 22.40. Utwory Ignacego Jana Paderewskiego.

PIĄTEK 9 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — chemia, sem. I. 6.30. Biologia, sem. I. 9.00. „Żołnierz Polski", kl. III. 9.55. Geografia, kl. VI. 11.00. Wychowanie obywatelskie, kl. VII. 13.30. TTR — uprawa roślin, sem. III. 14.00. Hodowla zwierząt, sem. III. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT: „Psychologiczne problemy zawodu nauczyciela". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: „Dziękuję, jakoś leci". 17.25. „W kręgu rodziny". 17.50. Filmy animowane. 18.15. „Lekarz radzi". 18.30. „Z kodeksem i bez kodeksu". 18.50. „Ślimak Maciuś". 19.00. „Wędrówki z kamerą". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Monitor Rządowy. 20.30. „Na drugiej linii frontu" (4). 22.05. „Listy o gospodarce". 22.50. Dziennik TV. 23.05. „Piosenki Kabaretonu" — 25-lecie „Piwnicy pod Baranami".
PROGRAM II
18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Wynalazca poszukiwany". 20.30. „Uśmiech spod parasola". 21.00. „Ulica Floriańska" — reportaż filmowy. 21.25. 24 Godziny. 21.35. „Świat na małym ekranie": „Życie wielkiej rzeki", „Niedziela na Tongo", „W górach Lam Vien", „Odkrycia w Kartaginie". 22.35. Program muzyczny.

SOBOTA 10 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR — uprawa roślin. sem. III. 6.30. Hodowla zwierząt, sem. III. 7.00. Uprawa roślin, sem. I. 7.30. Hodowla zwierząt. sem. I. 9.00. „Sobótka". 10.25. Program dnia 10.35. „Lenino wiele lat później" — film dokumentalny. 11.05. Klub Sześciu Kontynentów. 11.50. STUDIO 2. 11.55. Co słychać w Polsce? 12.55. „Krzyżówka" — teleturniej. 13.05. „Pieszo bliżej" — dwutygodnik antymotoryzacyjny. 13.45. Magazyn Pana Manna. 14.25. Eliminacje mistrzostw świata w piłce nożnej: NRD—Polska. 16.15. Dziennik TV. 16.45. „Przysięga Hipokratesa" — program publicystyczny. 17.20. „Walka o jaskinię" — II część tryptyku filmowego Jerzego Surdela. 17.50. Gość Studia 2. 18.00. Wspomnienie o Witoldzie Zatorskim. 18.15. „Nahorny + 1" — program muzyczny. 18.50. Dobranoc. 19.00. Program firmowy Studia 2. 19.30. Dziennik TV. 20.15. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego. 21.00. „Słodka branka" — amerykański film fabularny. 22.35. Dziennik TV. 22.50. Kino Nocne: „Starsky i Hutch" — „Kapitanie Dobey, już pan nie żyje". 23.40. Muzyczne forum Studia 2 — „Liga dżentelmenów" Jana Ptaszyna Wróblewskiego.
PROGRAM II
13.55. Program dnia. 14.00. „Milczące akta" — węgierski film sensacyjny. 15.30. „Ocalić od zapomnienia" — publicystyka kulturalna. 16.10. Popołudnie Przygody i Podróży. 17.40. „Pierwsze porywy" (6). 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Program muzyczny. 22.30. „Książę regent" (7) — „Mleko i miód".

NIEDZIELA 11 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
6.10. TTR — uprawa roślin, sem. I. 6.40. Hodowla zwierząt. sem. I. 7.10. TTR, RTSŚ — „Wiedza naszą szansą". 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. „Tydzień" — magazyn rolniczy. 8.40. Telewizjada. 9.00. Teleranek, m.in. „Wspaniały świat Walta Disneya". 10.25. Program dnia. 10.30. „Antena". 10.55. Estrada Folkloru. 11.25. „Wspomnienie o bitwie" — film dokumentalny. 11.45. Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. 12.35. Dziennik TV. 13.20. „Dlaczego?" — program Redakcji Rolnej. 14.05. Telewizyjny Koncert Życzeń. 15.05. Teatr dla dzieci: „Kwa, kwa, kwa, drogą szły kaczorki dwa". 15.35. „Trująca chmura nad Seveso" — włoski film dokumentalny. 16.25. Z kamerą wśród zwierząt. 17.05. „Do pięknej niedzieli" — widowisko rozrywkowe. 18.20. Reportaż filmowy. 18.45. „Proste pytania". 19.00. „Pszczółka Maja". 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Zwycięstwo" — polski dramat wojenny. 21.40. Sportowa Niedziela. 22.10. „Piękne głosy".
PROGRAM II
11.55. Program dnia. 12.00. Eliminacje do mistrzostw świata: NRD—Polska. 13.30. „Kościuszkowcy" — program dokumentalny. 14.00. Telewizja Młodych — „Kto na kogo czeka". 14.30. Przeboje tygodnia. 15.30. Studio Sport. 16.25. Teatr Wspomnień (1970) — Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz", księga VI, „Zaścianek". 17.10. Popołudnie Fauny i Flory. 17.55. „Nieliczne towarzystwo muzyczne", 19.00. „Muzeum rzemiosł" — reportaż filmowy. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Połczyn 80" — koncert galowy. 20.35. Spotkanie z pisarzem. 21.30. Filmy Stanisława Różewicza: „Szklana kula".

PONIEDZIAŁEK 12 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
13.30. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. III. 14.00. Fizyka, sem. III. 15.55. NURT: Cywilizacja i kultura Współczesna". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Kino Zwierzyńca. 17.25. „Giełda". 17.40. „Ile jest życia" (3) — „Polowanie". 18.50. „Smutny osiołek". 19.00. Echa stadionów. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. Scena Współczesna Teatru Telewizji Istvan Csurka: „Gorzkie żale w dózorcówce" w reż. Krzysztofa Rościszewskiego. 22.05. Kultura 81. 22.50. Dziennik TV.
PROGRAM II
18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Spotkajmy się raz jeszcze". 21.30. 24 Godziny. 21.40. „Spotkajmy się raz jeszcze".

WTOREK 13 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. III. 6.30. Fizyka, sem. III. 8.10. Historia, kl. VII. 9.55. „Trójkąciki ostrzegają", kl. I—III. 11.00. Plastyka, kl. III. 12.50. Język polski, kl. I—IV lic. 13.30. TTR, RTSŚ — język polski sem. I. 14.00. Matematyka, sem. I. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. „Michałki". 17.30. Polska Kronika Filmowa. 17.40. „Przyroda i postęp" — program Redakcji Rolnej. 18.10. Telewizja Młodych — CDN. 18.50. „Plastusiowy pamiętnik". 19.00. Klinika Zdrowego Człowieka. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Publicystyka DTV. 20.15. Kino Interesujących Filmów: „Strategia pająka" — włoski dramat psychologiczny. 21.55. Forum ekonomistów: „Przedsiębiorstwo i inni". 22.40. Dziennik TV. 22.55. „Zacznijmy od Mony Lizy".
PROGRAM II
18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Antyczny świat profesora Krawczuka. 20.30. Wtorek Melomana — Recital Eleny Obrazcowej. 21.25. 24 Godziny. 21.50. Film fabularny.

ŚRODA 14 PAŹDZIERNIKA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — język polski, sem. I. 6.30. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. I. 9.00. Chemia, kl. VII. 11.00. Praca-technika, kl. III. 11.35. Fizyka, kl. VIII. 13.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. III. 14.00. Biologia, sem. III. 15.55. NURT: „Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: „Sezam". 17.40. Film dokumentalny. 18.30. Magazyn motoryzacyjny. 18.50. „Przygody Peti". 19.00. „Świadkowie". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Film TV na Świecie: „Rudolf Hess" — film TV angielskiej. 21.00. „Śpiewające obrazy" — nowe piosenki Marka Grechuty. 21.20. Scena Monogram — Fiodor Dostojewski: „Lichwiarz i Łagodna" w reżyserii i wykonaniu Kazimierza Borowca. 22.20. Dziennik TV. 22.35. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. KOSMOS 1981. 21.30. 24 Godziny. 21.40. KOSMOS 1981.

kontakty kontaktów

W dniu 24 września 1981 r. pod adresem Prokuratury Wojewódzkiej w Łomży Niezależne Samorządne Związki Zawodowe „Solidarność" Oddział w Łomży, skierowały rezolucję podjętą w dniu 23 września 1981 r. na wspólnym posiedzeniu Zarządu Oddziału NSZZ „Solidarność" w Łomży Region „Mazowsze" i przewodniczących komisji zakładowych NSZZ „Solidarność, w której zawarte jest kategoryczne żądanie natychmiastowego zaniechania prowadzonych postępowań karnych przeciwko Przewodniczącemu Łomżyńskiego Oddziału NSZZ „Solidarność" — Marianowi Chojnowskiemu, członkowi Zarządu Regionu „Mazowsze" — Lechowi Gizelbachowi oraz Przewodniczącemu Wojewódzkiego Zarządu NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych — Marianowi Wyszyńskiemu.

W rezolucji obciąża się Prokuraturę za zaistniały stan napięć społecznych i celową akcję prześladowania członków i działaczy „Solidarności". Z tekstu rezolucji niedwuznacznie wynika, iż wizyta Prokuratora Generalnego PRL w woj. łomżyńskim miała ich zdaniem bezpośredni związek z podjęciem postępowań w wyżej wymienionych sprawach. Zagrożono, na wypadek dalszego kontynuowania czynności procesowych, podjęciem statutowych akcji protestacyjnych.

Kierownictwo Prokuratury Wojewódzkiej w Łomży w tej sytuacji czuje się w obowiązku zaprezentować opinii publicznej swoje stanowisko oraz sprostować niektóre fakty podane w przytoczonej rezolucji.

Prawdą jest, że Prokuratura Wojewódzka, a także Rejonowa w Łomży prowadzą postępowania karne w sprawie wywieszania plakatów i ulotek w miejscach publicznych na terenie woj. łomżyńskiego, a także na gmachu Oddziału „Solidarności" w Łomży, zawierające w swej treści zniewagi pod adresem Rządu PRL i PZPR. Prowadzone jest również postępowanie w sprawie wzogich wystąpień niektórych działaczy „Solidarności" na wiecach i zgromadzeniach publicznych, szkalujących i znieważających Rząd PRL, PZPR, jak również nasze sojusze ze Związkiem Radzieckim.

Postępowania karne w tych sprawach wszczęto w dniach 6 i 14 sierpnia 1981 r. a więc znacznie wcześniej przed datą wizyty Prokuratora Generalnego PRL w Łomży.

Czynności procesowe podjęte zostały dopiero po uprzednim przeprowadzeniu rozmowy ostrzegawczej z Kierownictwem „Solidarności" Oddział w Łomży w sprawie dobrowolnego zdjęcia plakatów, co nie odniosło skutku.

W miesiącu maju 1981 r. natomiast prowadzono rozmowy z Kierownictwem „Solidarności" Rolników Indywidualnych Zarząd Wojewódzki w Łomży i także uprzedzano o konsekwencjach prawnych działalności antypaństwowej i antyradzieckiej.

Liczyliśmy na to, że ludzie ci opamiętają się i zajmą się wyłącznie sprawami związkowymi. A ponieważ z ich strony nastąpiła dalsza eskalacja wrogich wystąpień, wszczęto postępowanie karne. Zatem decyzje Prokuratury nikogo z zainteresowanych osób zaskoczyć nie mogły.

Do podejrzanych nie stosowano środków zapobiegawczych. Kierownictwo Prokuratury Wojewódzkiej w Łomży, wypełniając swoje ustawowe i konstytucyjne obowiązki było władne wszcząć postępowania karne w poruszonych sprawach i doprowadzi je do końca w celu wszechstronnego ich wyjaśniania [...].

Godzi się podkreślić, że zgodnie z treścią art. 5 ust. 1 Ustawy z dnia 14 kwietnia 1967 r. o Prokuraturze PRL, prokuratorzy są w sprawowaniu swych funkcji niezależni od terenowych organów władzy i administracji państwowej, a zatem i organizacji społeczno-zawodowych i podlegają jedynie prokuratorom przełożonym oraz Radzie Państwa. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność" w swoich wystąpieniach oraz uchwałach formalnie faktu tego nie kwestionuje, ale w praktyce odchodzi od głoszonych zasad [...].

Kierownictwo
Prokuratury Wojewódzkiej
w Łomży

spintem przez boiska

W sobotę 3 października na przystani wodnej LOK w Łomży zainaugurowano uroczyste obchody 80-lecia Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego. W godzinach rannych odbyło się uroczyste posiedzenie zarządu Towarzystwa, w którym uczestniczyli, byli i obecni, członkowie, a także przedstawiciele miejskich i wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych. Starsze pokolenie działaczy ŁTW udekorowano czterema srebrnymi i dwoma brązowymi odznakami „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej". Dziewięć osób uhonorowano tytułami „Zasłużonych dla województwa łomżyńskiego". Wśród wyróżnionych pucharami i cennymi upominkami znalazły się kajakarki, złote medalistki ostatniej spartakiady młodzieży oraz zdobywcy brązowego medalu — osada wioślarska juniorów. W uznaniu zasług ŁTW w rozwoju sportów wodnych w Polsce przedstawiciel Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego przekazał na ręce prezesa ŁTW — Lucjana Ciuchty — Medal 100-lecia WTW. W rozegranych w niedzielę regatach wioślarskich i kajakowych zwycięstwo odnieśli reprezentanci ŁTW, wyprzedzając drużyny Budowlanych Olsztyn, Cresovi Białystok, Sparty Augustów i Startu Ostrołęka.

◆

Siatkarze MKS Zorza Łomża zdobyli brązowy medal na rozegranych w dniach 2—4 października w Łomży mistrzostwach Polski międzyszkolnych klubów sportowych. Mistrzami zostali siatkarze MKS MDK Warszawa, a srebrny medal wywalczyli reprezentanci MKS Len Żyrardów. O ostatecznej kolejności zadecydowała ilość i różnica zdobytych setów, ponieważ wszystkie trzy drużyny wygrały po dwa pojedynki. Warto dodać, że siatkarze Zorzy w drodze do finałów pokonali ubiegłorocznych wicemistrzów — drużynę Płomienia Milowice i tegorocznego mistrza MKS MDK Warszawa.

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach, Adam Socha, Juliusz Swiredo, Władysław Tockl, Alicja Zagórska Fotoreporter — Gabor Lörinczy Redaktor graficzny i Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Alicja Bartosz — Stanisław Kędzielawski Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel, Korekta — Elżbieta Słupska STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Jerzy Bielecki, Henryk Gała, Jacek Grün, Wiesław Jaśnicki, Andrzej Kusiba, Włodzimierz Pawluczuk, Franciszek Piątkowski, Piotr Kuncewicz, Marek Kuklik, Teresa Polecka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża. Tel. 34-95, 40-22, telex — 853249 WYDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch", Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne, Zam. 1493/81. Nakład 18 600 A-3 PL ISSL 0203-5840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyg „Kontakty" 18-400 Łomża ul Sadowa 10 tel 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW Prasa Książka-Ruch" na terenie całego kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności

KONTAKTY

pokusy
organ samoistny
pod redakcją Andrzeja Koziary

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jak z pewnością się domyślamy, cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Bużański, Narwiański i Dojlicki, po ostatniej dyskusji, przeprowadzonej w ramach wymiany poglądów własnych, mają potężnego kaca. Jednakowoż każdy kac z czasem niestety mija, pozostawiając smutną rzeczywistość.

DOJLICKI: Koledzy! Ponieważ zwykła mowa artykularno-partykularna do nikogo już dzisiaj nie trafia, w szczególności zaś do nas samych, postuluję, abyśmy tytułem eksperymentu zaczęli się wyrażać składnią wiązaną. Może z tego coś wreszcie wyniknie? O! Na przykład: — Djabeł z wami diabły stare, boście głupie ponad miarę.

NARWIAŃSKI: Ja w zasadzie z tym się zgadzam, choć obrażać nie doradzam. Bowiem obrażając draństwo, wystawiacie na szwank państwo. Rymy grają w mojej duszy, niech mnie tylko który ruszy!

BUŻAŃSKI: Ruszyć to cię ja nie ruszę, chociaż wątpię, czy masz duszę.

NARWIAŃSKI: Mam czy nie mam moja sprawa, nie takiego jak ty pawa! (*ob. Narwiańskiemu zapewne chodziło o ptaka pawia, który nie rymowałby się jednak ze sprawą — przyp. aut.*) Kto nie uzna mojej racji, będzie wrogiem demokracji!

BUŻAŃSKI: Kto zaś moje racje ruszy, przeciwnikiem jest sojuszy!

BIEBRZAŃSKI: Rozpatrując te warianty stwierdzam, żeście obaj anty...

DOJLICKI: Ja z kolei wam nie radzę, atakować moją władzę. Teraz chcecie atakować, by w przyszłości ją przejmować!

BIEBRZAŃSKI: Nie będziemy nic przejmować, chcemy tylko dyskutować.

BUŻAŃSKI: Idźcie wszyscy do cholery, dwa i dwa to nie jest cztery! Gdy w liczeniu zniknie biegłość, utracimy niepodległość.

DOJLICKI: Ejże, obywatelu kolego panie towarzyszu, a cóż to za wredne aluzje? Z głodu chyba wam się w głowie pomieszało. Stańcie do jakiejś kolejki i kupcie sobie coś do jedzenia. Macie chyba jeszcze jakiś bon konsumpcyjno-towarowy, będący szczytowym osiągnięciem naszej piekielnej ekonomiki! W delikatesach podobno bywa chleb, w Narwi wody pod dostatkiem, a gdzie jest chleb i woda, tam nie ma głoda — jak mawiały nasze ojce, przy suto zastawionym stole. Czy można w ogóle mówić, że grozi nam głód? Ludzie! To jest, chciałem powiedzieć, diabły! W sumie żrecie ponad miarę! Opychacie się kartoflami, opijacie z lekka białawym mleczkiem, poprawiacie sobie chlebem, zagryzacie kaszą względnie raz na trzy miesiące ryżem i jeszcze wam źle?

NARWIAŃSKI: A może i wy coś zjecie? Niedomiar białka zwierzęcego zrekompensował się nadmiarem waszych przemyśleń. Mimo wszystko należy zachować jakąś równowagę.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

DONOS URLOPOWY

No, wybyczyłem się jak wszyscy anieli, sadła przybrałem nieco (babie na bazarze), policzki mi się zaokrągliły (od nabierania wody w usta) i sierść nabrała ładnego połysku (na który zawsze tak zabójczo działało mydełko „Mefisto"). Słowem, wczasy miałem nadzwyczaj udane. Tylko importowanych turystów było ciut przymało.

Co się ja nie nazabiegałem, co się łba nie nasuszyłem — ludzie kochane — wołowej skóry by nie starczyło, żeby to wszystko spisać. Ubłagałem nawet pewne elementy w pegeerze Zielone Kamedulskie, by po żniwach słomy nie zbierali — może na nią dolarowcy polecą? Gdzie tam!

Teraz tylko modlę się (tak, tak, już do tego doszło), aby telewizja chociaż słomy tej nie wyniuchała, bo jak sprawę rozdmuchają, to pół kraju będzie miało sieczkę w butach.

Ponieważ kultura osobista nie pozwala mi na rzucanie mięsem, kusiłem jeszcze turystów świeżym ziarnem, grubo rozsianym po drogach wiodących do mego grodu. Ulice i chodniki też posypałem, by każdy widział, że nas na coś jeszcze stać. Jednak frekwencja nie drgnęła ani o ułamek.

Tylko się, cholery jedne, ciągle pytali, czemu u nas tak dużo sklepów meblowych, a innych nawet na lekarstwo nie uświadczysz.

Co ja będę takim głąbom tłumaczył, a poszli wszyscy w kibieni babuszki!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy napluły w brodę, do której nikt aktualnie się nie przyznał, choć wystawała ona zza drzwi z napisem „Przyjęcie towaru". Ponoć broda była służbowa.

Zaś pewien alkoholik odtańczył kankana na ladzie w monopolowym. Kiedy go ściągnięto przy pomocy bosaka i kopniaków (czyli najłagodniejszych środków perswazji) okazało się, że facet był trzeźwy jak niemowlę abstynentki (pierwszy raz mu to się zdarzyło — nic dziwnego, że zbzikował).

Piekło centralne informuje, że została zamknięta granica z niebem, bo był przeciąg. Jednocześnie ostrzega się, że deski, którymi była zabita znana dziura, a które to ostatnio podciągnęli nieznani sprawcy, są spróchniałe i że wszelkie próby ich wykorzystania mogą skończyć się śmiercią lub kalectwem.

WYTYCZNE

Zdrożyć, wdrożyć i rozłożyć — tryptyk, który zawsze godny będzie góry.

WSKAZÓWKI

Paki do paki.

TWÓRCZOŚĆ

Rozwijać ikarowe skrzydła na wysokokalorycznych powidłach.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

PRZEPOWIEDNIE

ŻÓŁTY KURZ

Im bliżej roku 1999, w którym według wielu ekspertów nastąpi wreszcie koniec świata, tym poczytniejsze stają się pisma i wypowiedzi (nie wszyscy umieli pisać) jasnowidzących. Obok Nostradamusa niezaprzeczalnej supergwiazdy wszechczasów, często cytuje się Aloisa Irlamaiera, bawarskiego kopacza studni zmarłego przeszło dwadzieścia lat temu. Zdaniem interpretatorów Irlamaier przewidział działanie bomby neutronowej. Pisał on ćwierć wieku temu: „*Wtedy nie wychodźcie (...) Kto będzie wdychał ten kurz, dostanie kurczy i umrze. Nie otwierajcie okien, zasłońcie je czarnym papierem. Po 72 godzinach będzie po wszystkim (...) W ciągu nocy umrze więcej ludzi niż w ciągu dwu wojen światowych. Również bydło na pastwiskach będzie padać (...) Czołgi jeszcze jadą, ale ci, którzy tam siedzą, są już martwi. Tam gdzie spadnie żółty kurz, nic już nie żyje, ani drzewo, ani krzew, ani zwierzę, ani trawa (...) Domy jeszcze stoją. Jest długa linia. Kto ją przekroczy, umrze...*"

Sennik — przepowiednie niechybne

FAŁSZOWAĆ COŚ

Fajkę palić — towarzystwo; rozbić — pociecha
Fale morskie — niebezpieczeństwo
Fałszować coś — ludzka obmowa
Fałszywe pieniądze — niebezpieczny zysk
Familia — nieporozumienie domowe
Fant — choroba w domu; fantowa loteria — wielkie wydatki
Farba czarna — smutek; czerwona — kłótnia; zielona — zdrowie; malować farbami — wynająć ładne mieszkanie; farby dobierać — zmiana znajomości
Farmaceuta — choroba kochanej osoby
Fartuch — poznasz się z miłą osobą
Faska — szczęście w miłości
Fasola — nieuzasadnione wyrzuty
Faworyty ogolić — słabość
Febrę mieć — śmierć znajomego
Felczera wzywać — niepokój
Figi zrywać, lub jeść — zmartwienie
Figurę widzieć — dobra rada
Filmy oglądać — ustatkujesz się
Filozof — nieuzasadniony kłopot
Fircyk — utraty pieniężne
Fiołki wąchać — przyjemne towarzystwo
Filiżanki kupować — będziesz na weselu
Firanki zawieszać — przybycie gości
Flaki jeść — przeżycia wewnętrzne
Flaszki ustawiać — znaczny zysk; obtłuć flaszki — wpadniesz w kłopot
Flet, grać na nim — być na pogrzebie

I SIĘ ŚMIEJĄ CZERWONI
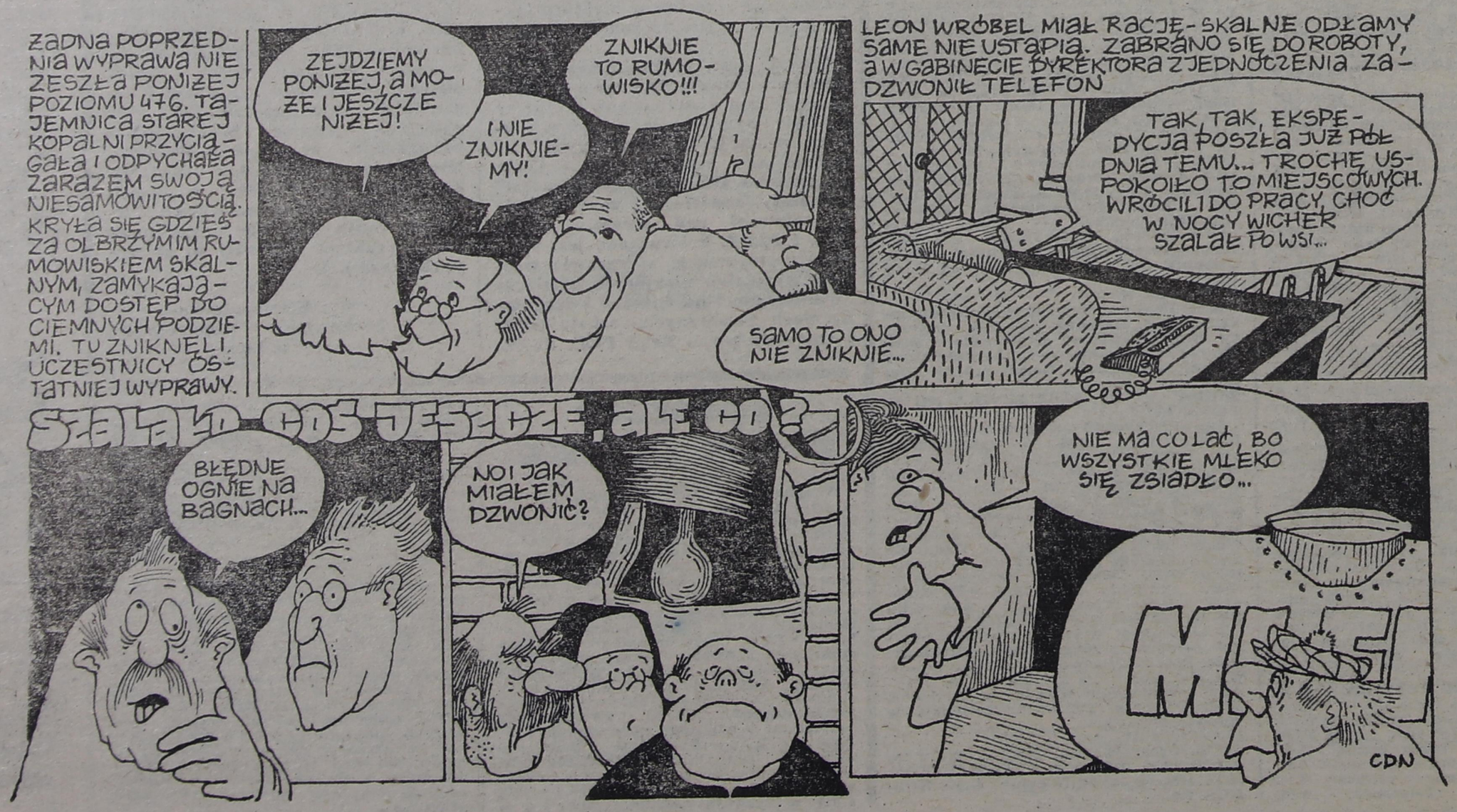
POMYSŁ: MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.: JÓZEF BURNIEWICZ